MINISTERSTWO OŚWIATY

CHŁOP POLSKI W DZIEJACH I LITERATURZE

TEKSTY I DOKUMENTY

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. 2870

ŁÓDŹ – 1945
PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTW SZKOLNYCH

MINISTERSTWO OŚWIATY

CHŁOP POLSKI W DZIEJACH I LITERATURZE

TEKSTY I DOKUMENTY

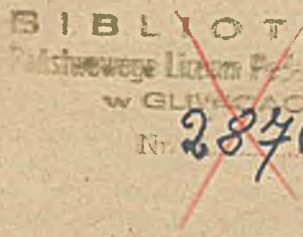

ŁÓDŹ – 1945
PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTW SZKOLNYCH

M.O
Chr
323.2
2870
Politechnika Śląska BIBLJOTEKA Kolegium Pedagogiczne
Kolegium Nauczycielskie BIBLIOTEKA Gliwice
Kolegium Nauczycielskie Biblioteka Gliwice
821.162.1-82
SN 19825

SŁOWO WSTĘPNE

Od sześciu miesięcy jesteśmy świadkami wielkiej przemiany, która zachodzi na ziemiach polskich — reforma rolna staje się rzeczywistością. W majestacie prawa, zgodnie z literą i duchem dekretu o reformie rolnej z dnia 6 września 1944 r., zgodnie z zapowiedzią Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, przy czynnej współpracy partii politycznych, związków zawodowych, brygad robotniczych, chłop polski otrzymuje ziemię na własność. Znika folwark pański. Dwór pańszczyźniany tętni nowym życiem. Znika z układu społecznego warstwa ziemiańska, dziedziczne oparcie reakcji. Nie ma odtąd pana i chama, dziedzica i fornala. Nie ma więcej Nawłoci w Rzeczypospolitej.

Sprawiedliwości społecznej staje się zadość. Ziemię otrzymuje ten, kto ją orze i obsiewa z dziada pradziada. Gospodarzem kraju, pełnoprawnym obywatelem staje się chłop. Ojczyzna płaci nareszcie dług należny pasierbowi dziejów polskich, oblekа w ciało reformy święty testament najlepszych w narodzie, bojowników o wolność i sprawiedliwość. Testament ten, zapisany jeszcze przez Andrzeja Frycza Modrzewskiego, gorąco poparty przez Stanisława Staszica i Hugona Kołłątaja, przez ks. Meiera, Jezierskiego i Konopkę, wydźwignięty do godności prawa przez Uniwersał Połaniecki Tadeusza Kościuszki, upadająca Rzplita szlachecka przekazała na schyłku XVIII wieku szlacheckim radykałom, herbowym rewolucjonistom-powstańcom. Odtąd hasło uwłaszczenia chłopów skupia wszystkich prawdziwych patriotów, przoduje wszystkim ruchom powstańczym, walce narodowo-wyzwoleńczej i walce społecznej, walce o demokrację. Wysuwa je lewica legionowa spod znaku J. H. Dąbrowskiego i patriotyczna konspiracja wolnomularska w kraju. To hasło rozłupało powstańców listopada 1830 r. na ogromną konserwatywną masę ziemiaństwa, ceniącego sobie dobrobyt własny, trwanie pańszczyźnianego dworu ponad wyzwolenie narodowe i na drobną radykalną garść młodzieży, ludu miejskiego i rewolucyjnych inteligentów szlacheckiego pochodzenia, któ-

rym przewodzili Joachim Lelewel i Maurycy Mochnacki, ludzie „Honoratki" i Klubu Demokratycznego. Hasło rewolucji agrarnej dzieli na emigracji prawicę czartoryszczyków od lewicy Towarzystwa Demokratycznego, ono decyduje o stanowisku Polaków i sprawy polskiej w r. 1846 i 1848, ono wreszcie stanowi istotną sprężynę glorii i klęski 1863 roku.

Po uwłaszczeniu pruskim 1824 r., po uwłaszczeniu austriackim 1848 r. przychodzi uwłaszczenie carskie 1864 r. Chłop otrzymuje wolność i własność z rąk zaborców. Otrzymuje też skąpo, niedostatecznie, na krótko i prawa i ziemię. Procesy gospodarcze, procesy narodzin i rozrostu kapitalizmu, których terenem stają się ziemie nasze w drugiej połowie XIX wieku, stają się źródłem pauperyzacji wsi i wywłaszczenia ogromnego odsetka włościan. Konieczność nowego podziału ziemi i nowego przydziału praw narasta ku końcowi ubiegłego stulecia ze szczególną ostrością, nie rozładowuje się należycie w latach burzy rewolucyjnej 1905 r. i staje u progu niepodległości 1918 r. jako jedno z najboleśniejszych, najbardziej nabrzmiałych, dojrzałych do przecięcia owrzodzeń ustrojowych.

Zapowiedź rządu lubelskiego 1918 r. pozostała wiązanką pięknych słów na cierpliwej bieli plakatów. Ustawa o reformie rolnej, wyniesiona w pierwszym okresie wielkiego poruszenia mas, zrewolucjonizowanych przez wojnę i wrażliwych na promieniowanie rosyjskiej Rewolucji Październikowej, uchwalona w pośpiechu latem 1920 r., została storpedowana skutecznie i jawnie, gdy tylko minęło niebezpieczeństwo, gdy pokój ryski 1921 r. usunął sprzed przerażonych oczu rządu ówczesnego widmo rewolucji w Polsce. Nowelizowana wielokrotnie, hamowana przez machinę biurokratyczną z natchnienia ziemiaństwa ustawa o reformie rolnej stała się z nadziei bezrolnych i małorolnych powolnym narzędziem leniwej parcelacji, która przestała wkrótce niepokoić dwory i radować wieś. Względność naszej struktury rolnej pogłębiała się. Wieś grzęzła w nędzy i ciemnocie. Rząd i sfery ziemiańskie trwały w wygodnym wyczekiwaniu, głuche na wszystkie sygnały ostrzegawcze.

Mnożą się w tych latach przedwojennych dzwonki alarmowe. Bezrobocie wiejskie staje się stałe, chroniczne, strukturalne. Osiem milionów zbędnych ludzi, osiem milionów bezrolnych pauprów notyfikuje się oficjalnie z trybuny sejmowej. Przyrost ludności spada, choć promil rozrodczości nie ulega większym wahaniom — tak wielka jest śmiertelność niemowląt po wsiach. Cukier staje się mitem. Sól, nafta i zapałki — problemem gospodarczym nie do rozwiązania. Zdolność nabywcza chłopa spada zastraszająco. Wieś nie płaci podatków. Komornik

i mandat karny — to dzień powszedni wieśniaka. Wybuchają ostre rebelie wiejskie, mnożą się potężne masowe strajki chłopskie.

Zwężenie chłonności rynku wewnętrznego powoduje katastrofalne wstrząsy produkcji przemysłowej. Klęska wsi przyśpiesza kryzys w mieście. Polska wchodzi w zwężający się korkociąg kryzysu strukturalnego, z którego usiłuje ją wyciągnąć przez montowanie przemysłu zbrojeniowego rząd przedwrześniowy. Ten akt spóźniony i chybiony miał skutek wiadomy.

I oto po potwornym pięcioleciu okupacji wybiła nareszcie godzina radości dla polskiej wsi. Bez deklamacji, bez obrzędów i ceremoniału, zato szybko, skutecznie, reforma rolna staje się naprawdę największym wydarzeniem w życiu wsi, staje się kamieniem węgielnym pod budowę nowej ludowej, demokratycznej Polski.

Materiały, które nauczyciel znajdzie w tej broszurce, pozwolą należycie ująć i naświetlić zagadnienie przebudowy wsi, jedno z węzłowych, najważniejszych zagadnień życia współczesnego. Teksty literackie służyć będą w pierwszym rzędzie poloniście, dokumenty — historykowi, jedne i drugie nauczycielowi zagadnień życia współczesnego w liceum. Całość może być z powodzeniem użytkowana również w gimnazjum i w zakładach oświaty dla dorosłych, na kursach dokształcających, na uniwersytetach niedzielnych i ludowych. Broszura posłuży też jako pomoc w pracy świetlic, do zbiorowej lektury i dyskusji. jako materiał do referatów.

Sprawa reformy rolnej musi zająć poczesne miejsce w całokształcie pracy oświatowej.

Część I

Z NIEDOLI CHŁOPSKIEJ

SZYMON SZYMONOWICZ

ŻEŃCY

Oluchna

Już południe przychodzi, a my jeszcze żniemy!
Czy tego chce urzędnik, że tu pomdlejemy?
Głodnemu, jako żywo, syty nie wygodzi!
On nad nami z maczugą, pokrząkając, chodzi,
A nie wie, jako ciężko z sierpem po zagonie
Ciągnąć się; oraczowi insza, insza wronie:
Chociaj i oracz chodzi za pługiem, i wrona.
Insza sierp w ręce, insza maczuga toczona.

Pietrucha

Nie gadaj głosem, aby nie usłyszał tego!
Albo nie widzisz bicza za pasem u niego?
Prędko nas nim namaca! Zły frymark — za słowa
Bicz na grzbiecie, a jam nań nie bardzo gotowa.
Lepiej złego nie drażnić: ja go abo chwalę,
Abo mu pochlebuję — i tak grzbiet mam w cale.
I teraz mu zaśpiewam, acz mi nie wesoło:
Niesmaczno idą pieśni, gdy się poci czoło!

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.
Ty wstajesz, kiedy twój czas; jemu zda się mało:
Chciałby on, żebyś ty od północy wstawało;
Ty bieżysz od południa zawsze swoim torem,
A on by chciał ożenić południe z wieczorem...

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.
Ty dzień po dniu prowadzisz, aż długi rok minie:
A on wszystko porobić chce w jednej godzinie:
Ty czasem pieczesz, czasem wionąć wietrzykowi
Pozwolisz i naszemu dogadzasz znojowi:
A on zawsze: „pożynaj! nie postawaj!" woła,
Nie pomniąc, że przy sierpie trójpot idzie z czoła.

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.
Ciebie czasem pochmurne obłoki zasłonią,
Ale ich prędko wiatry pogodne rozgonią;
A naszemu staroście nie patrz w oczy śmiele:
Zawsze u niego chmura i kozieł na czele;
Ty rosę hojną dajesz, po ranu wstawając.
I drugą także dajesz, wieczór zapadając:
U nas post do wieczora zawsze od zarania;
Nie pytaj podwieczorku, nie pytaj śniadania!

Oluchna

Szczęście twoje, że odszedł starosta na stronę:
Wzięłabyś była pewnie na buty czerwone,
Abo na grzbiet upstrzony za to winszowanie!
Słyszysz, jakie Maruszce daje tam śniadanie?
A słaba jest nieboga: dziś trzeci dzień wstała
Z choroby, a przedsię ją na żniwo wygnała
Niebaczna gospodyni. Tak-ci służba umie!
Rzadko czeladnikowi kto dziś wyrozumie.
Patrz, jako ją katuje: za głowę się jęła
Nieboga: przez łeb ją ciął, krwią się oblinęła;
Podobno mu coś rzekła: każdemu też rada
Domówi. Tak to bywa, gdy kto siła gada!
Dobrze mieć, jako mówią, język za zębami:
I my mu dajmy pokój, choć żartuje z nami!
Żart pański stoi za gniew i w gniew się obraca:
Ty go słówkiem, a on cię korbaczem namaca.

Pietrucha

Dobrze radzisz. Mnie się on, widzę, nie przeciwi,
Ale lepszy z nim pokój. Co się często krzywi,
Złomić się może — przyjdzie jedna zła godzina,
A częstokroć przyczyną bywa nieprzyczyna.
Zaśpiewam ja mu przedsię — rad on pieśni słucha:

Patrzy na nas, i stanął, i nakłada ucha.
Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Naucz swych obyczajów starostę naszego!
Ty nas ogrzewasz, ty nam wszystko z nieba dajesz,
Bez ciebie noc, z tobą dzień jasny, gdy wstajesz;
Niech i on na nas zawsze patrzy jasnym okiem,
Niech nas z pola w czas puszcza, nie z ostatnim mrokiem!

(„Żeńcy" w skróceniu)

STANISŁAW STASZIC

CHŁOP POLSKI U SCHYŁKU RZECZYPOSPOLITEJ

Pięć części Narodu Polskiego stoi mi przed oczyma. Widzę miliony stworzeń, z których jedne wpółnago chodzą, drugie skórą albo ostrą siermięgą okryte; wszystkie wyschłe, znędzniałe, obrosłę, okopciałe; oczy głęboko w głowie zapadłe, dychawicznymi piersiami bez ustawnie robią. Posępne, zadurzałe i głupie; mało czują i mało myślą; to ich największą szczęśliwością. Ledwie w nich dostrzec można duszę rozumną. Ich zwierzchnia postać z pierwszego wejrzenia więcej podobieństwa okazuje do zwierza, niżeli do człowieka. Chłopa ostatniej wzgardy nazwisko mają. Tych żywnością jest chleb z śrótu, a przez ćwierć roku samo zielsko; napojem woda i paląca wnętrzności wódka. Tych pomieszkaniem są lochy, czyli trochę nad ziemią wyniesione szałasze. Słońce tam nie ma przystępu; są tylko zapchane smrodem i tym dobrotliwym dymem, który, aby podobno mniej na swoją nędzę patrzali, zbawia ich światła: aby mniej cierpieli, i w dzień i w nocy dusząc, ukraca ich życie mizerne, a najwięcej w niemowlęcym wieku zabija. W tej smrodu i dymu ciemnicy dzienną pracą strudzony gospodarz na zgniłym spoczywa barłogu; obok niego śpi mała a naga dziatwa na tym samym legowisku, na którym krowa z cielęciem stoi, i świnia z prosiętami leży. Dobrzy Polacy, oto rozkosz tej części ludzi, od których los waszej Rzeczypospolitej zawisł! Oto człowiek, który was żywi! Oto Stan Rolnika w Polszcze.

Zwyczaj zniszczył w waszym sercu wrodzoną czułość, z wychowaniem rośniecie tyrani. Wydarliście człowiekowi ziemię i prawo. Trzymacie je upornie. I nie tylko nie czując, ale też nie myśląc, z tej krzywdy bliźniego nawet sami po-

żytkować nie umiecie. Wasza nad nim niewola jest ustanowiona najnierozumniejszym sposobem.

Jak niecna i nierozumna musi być ustawa naszego towarzystwa! Tysiąc lat jak Rzeczypospolita Polska ma w swoim ręku ten fundusz, który sąsiedzi u siebie już kilkadziesiąt razy powiększyli, a w rządzie Polskim jak gdyby zaklęty bez pożytku leży. Rozmnożyli, oświecili, wzbogacili się w Polszcze inni ludzie nie potrzebni. Wieśniak zawsze w jednej liczbie, zawsze w jednej biedzie, zawsze niepracowity, zawsze głupi.

Człowiek, którego niewola tak urządzona, iż mu ledwo tyle rzeczy, ile ich pierwsze życia potrzeby wyciągają, przez pracę zyskać pozwolono; któremu chęci nawet polepszenia swojego losu zakazano; któremu żyć w swoich dzieciach wzbroniono; którego potrzeby oznaczono; pragnienia, żądze, cały sposób myślenia komu innemu oddany; w którym wstrzymana czynność duszy, zatłumiony ten najpiękniejszy i najdzielniejszy duszy ludzkiej przymiot, chęć rozkoszy czyli mienia się lepszego. On jest tylko połową człowieka. A ta zostawiona mu połowa jest od straconej podlejszą. On jest tylko istnością cierpiętliwą. Tylko mu się boleść została. Nic też nie robi tylko z bojaźni i boleści. Taki człowiek do ruszania się mało pobudek czuje. Tak niewolnicza machina, której do szczętu odebrana wola i rozum, bez przymusu nie uczyni kroku żadnego. W którymkolwiek położeniu raz znajdzie się, w tym trwać będzie tak długo, dopokąd jej z boku kto inny nie popchnie. Naszemu Rolnikowi z jednego miejsca na drugie przejść, swój stan odmienić, innym sposobem pracować, więcej myśleć, więcej namiętności czuć, swojego polepszenia pragnąć; zgoła nietylko być, ale nawet chcieć być szczęśliwszym jest zakazano. Dla czegóż on ma pracować?... Już to nie jest ten człowiek, jakiego dzisiaj kraj potrzebuje.

...Z takimi myślami rolnik żadną miarą swojej pracy nie powiększy. Tego, co oszczędzi, nie obróci na wydatki gospodarskie. Owszem, albo kryć się z tym będzie, albo czymprędzej takim sposobem, o którym jest najpewniejszym, że mu tego nikt inny odebrać nie potrafi; utraci, przepije, stanie się leniuchem, hultajem, pijakiem i złodziejem. Tylkoć też tyle mojego, co przepiję. Oto hasło rolnika Polskiego. Tu kiedy sobie pomyślę, żem Polakiem, wstyd mi dalej mówić. Kiedy sobie przypomnę, żem człowiekiem, porywa mię rozpacz i zgroza.

....Polaku, którykolwiek masz duszę i myślisz, to zawstydź się i zadrżyj. Zniszczyliśmy miliony ludzi bez pożytku dla kraju... Dzieci w naszych wsiach umieszczenia znaleźć nie

mogące, nie miały wolności z tej wsi przyjść do drugiej i uczyć się rzemiosła, obsiadać w mieście, i być użytecznymi krajowi. Nie odbieraliśmy im życia, ale gdyby na dłuższe cierpienie zostawiając im to życie, a nie dając im gruntu, i odbierając im wolność naturalną, odbieraliśmy do wyżywienia się sposoby.

...Macież wy miłość Ojczyzny? — Nie Obywatelami, ale nieprzyjaciołami Polski jesteście. Więcej szkodzicie temu krajowi, niżeli szkodzili Moskale, Szwedzi, Niemcy, Turcy i Tatarzy. Tych okrucieństwo padło na niektórych, i skończyło się w lat kilka. Wasze okrucieństwo trapi nie tylko żyjących, ale nadto kładzie przeszkodę wieczną do podobieństwa, aby Polska mogła z sławą powstać. Bo tamuje ludność, wstrzymuje powiększenie urodzajów, rozciąga niewolę na pokolenia dalekich wieków.

(„Przestrogi dla Polski")

TEOFIL LENARTOWICZ

MACIEK

Hej! do tańca dziewuchy,
Zagraj dudko Jaśkowa!
Cóż to, grajku, czyś głuchy,
Co tak siedzisz, jak sowa?
Hej! Mazury, do licha,
Cóż zaś wam się przydało?

Każdy patrzy a wzdycha,
Czy złe ludzi spętało?
Ta i Franek przechera
Jeno zyzem poziera.
A dziewuchy, parobcy,
Jak nie swoi, jak obcy.

Gdy tak Maciek ochoczy,
Ośmieliły się oczy,
I Jan stary z za stoła:
Grajże, grajku! zawoła.

Chwycił Józek za basy,
Żwawo smykiem potoczył,
Maciek w tańcu wyskoczył,
Ognia dały obcasy.
Hej! ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!

Co mam nie być wesoły,
Kiej mi zdechły dwa woły;
Niech ta zdychają sobie,
Przez to w polu nie robię,
Jeno w karczmie tańcuję,
I cieszę się, raduję...
Oj! ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!

Co mam nie być wesoły,
Spaliły się stodoły,
Nie będzie ta kłopotu
Wedle zboża omłotu,
Bo je grady złożyły,
Pocięły i zmłóciły.
Hej! ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!

Co mam nie być wesoły,
Mój dorobek dwa doły,
A w nich moja Zosieńka
I dziecina maleńka.
Oj! ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!

Cóż tak patrzysz hej, stary?
Stawałem ci do miary,
Dzisiaj moja hulanka,
Jutro branka, hej! branka.
Oj ta dana, hej dana,
Dołoż moja kochana!

Gdy się Maciek ochoci,
Cóż zaś grajko się poci?
Kropla w kroplę pod oczy
I na wąsy się toczy.
Czy mu struny porwano?
Skrzypki rzucił, podeptał,
Otarł lice sukmaną
I coś mruczał i szeptał.
A dziewki się spłakały,
że skrzypki grać przestały.
Za muzykę zapłacę,
Jak się kiedy zbogacę,
Jak zbogacę, oj gdyby!
Naostrzyły się słuchy,
A on trzęsie dwa grzyby

I ta jakieś okruchy.
Wyśpiewuje o głodzie,
Pochyliły się głowy,
Posmutniało w gospodzie
Od ochoty Maćkowej.

Śnieg po świecie zagania,
Kury pieją pod strzechą:
Niedaleczko od rania —
Bodaj z taką uciechą!

LEON KRUCZKOWSKI

PAŃSZCZYZNA

Nad wieczorem, z wielkimi ostrożnościami mimo panującej już ciemnicy, znalazł się Kazimierz przed małym, samotnym domkiem, którego boczne oświetlone okno świadczyło, że pan Justyn Szymkiewicz, aktuariusz, znajduje się w mieszkaniu. Należało tylko zbadać, czy jest sam... Ostrożność była wskazana tym więcej, że domek przytykał do płotu dworskiego, a gwar z zabudowań folwarcznych słychać było dość blisko.

Podszedł więc Kazimierz ku oświetlonemu oknu i, aby zajrzeć do wnętrza, wspiął się na palcach; okno było bowiem przysłonięte kawałkiem pasiastej szmaty i tylko od góry pozostawała wąska szczelina do wglądu.

...Był sam. Właściwie niewidzialny bezpośrednio. Tylko na bocznej ścianie czerniał dziwaczny, wielkogłowy cień człowieka, na wpół siedzącego na łóżku, z książką w ręce. Na ławie obok łóżka płonęła widocznie łojówka; jej to migotliwe światło rzucało na ścianę ów zgarbiony cień domniemanego człowieka. Tym człowiekiem mógł być oczywiście tylko sam pan Szymkiewicz, aktuariusz.

Zaczem Kazimierz odstąpił od okna i, macając w ciemności wzdłuż ścian domku, trafił do drzwi. Były zamknięte, więc zastukał dwukrotnie i niezbyt głośno. Upłynęła długa chwila, zanim usłyszał bose, człapiące kroki i krótki stuk odsuwanego drewnianego rygla.

— Kogoż tam licho niesie, — mruknęła głowa w drzwiach, uchylonych niezbyt ochoczo.

— Masz-ci gościnność — cicho roześmiał się Kazimierz.

— A to gadaj od razu, coś zacz — parsknęła głowa i drzwi otwarły się szerzej.

Z małej i czarnej sionki weszli do owej oświetlonej izby.

— Dobrze, że przychodzisz, Kaźmirku — mówił aktuariusz, podciągając pantalony i zbierając dłonią rozchełstaną na piersi koszulę. — Ja już, ino patrzeć, zapomnę tu zgoła, do czego ozór człowiekowi służy... Uczciwie pogadać nie ma z kim...

— Bo nie szukasz... jak odludek tu siedzisz, Justyś!

— Siadajże! — mówił aktuariusz, przenosząc na stół łojówkę. — A bodaj cię!... Żem odludek, powiadasz?... Zrzędo utrapiony, i z kimże tu gadać, u licha?... Z chłopami, bez twojej obrazy, nie lubię i nie umiem... a do dworu, to wiesz: tyle akuratnie zachodzę, co urząd mój wymaga, a nawet jeszcze mniej!

— Jest jeszcze żyd, bez twojej obrazy — zaśmiał się Kazimierz tonem wyraźnej przymówki.

— Chwała Bogu!.. On jeden, Majer, zacny, chociaż brodaty... Nie dalej też, jak wczoraj byłem u niego, aby się cośkolwiek... tego... zaopatrzyć, gdyż stary zapasik, pojmujesz... wysechł do cna, przy boskiej pomocy.

Schylił się pod stół i czegoś tam szukał wśród cienia. Szczęknęło szkło. Wyciągnął wreszcie sporą, zieloną butelkę.

— Okowita z miodem! — rzekł, stukając w nią palcem. — Sam przyrządziłem wczoraj wedle sposobu sekretnego, jaki pamiętam jeszcze z lat dziecinnych... Sam ocenisz: delicje!

Kazimierz uśmiechnął się, nagle zakłopotany.

— A ja tu do ciebie, Justyś, wiesz po co!

— Wiem!.. Lecz czasu dosyć... Uszczęśliwiłeś mnie odwiedzinami, więc myślę, że nie odmówisz... tego tu!

I już ustawiał na stole kubki z grubego szkła, znacznych rozmiarów, i napełniał je skwapliwie, z wielką zręcznością. W migotliwym świetle łojówki dziwnie posępnie wyglądała jego młoda, koścista twarz z drgającą raz po raz dolną szczęką i błyszczącymi chorobliwie ciemnymi oczyma.

Wypili. Kazimierz, że mało zwyczajny, zachłysnął się wściekłym, palącym smakiem trunku. Tamten roześmiał się rozlegle.

— Baba z ciebie Kaźmirku, aż wstyd!.. Poprawże, aby gardło wygładzić, bo wiadomo, bakalarskie ono, więc chropawe... miodu wymaga!

— Kiedy bo wiesz, że ja nie bardzo, Justyś... nie używam tych gorącości!.. — bronił się Kazimierz, lecz wypił po raz drugi, aby nie urazić przyjaciela, czułego w tym względzie.

Zarumieniły się im twarze. Oczy aktuariusza zagorzały nagłym blaskiem.

— Czytałeś coś? — zagadnął Kazimierz, odsuwając daleko swój kubek. Chciał nadać rozmowie tok, dla siebie pożądany.

Tamten aż podskoczył na ławie.

— Prawda!.. Mam coś dla ciebie, mój orędownику uciemiężonego chłopstwa! — zawołał, parskając śmiechem. — Coś, co zdoi-

ne jest wzruszyć najbardziej zatwardziałe w Królestwie Polskim serca!

Podjął porzuconą na łóżku niewielką książczynę.

— Posłuchajże!.. Sam tytuł jakże wymowny, jak wspaniały!.. Jakiż swojski, sarmacki, kochany!.. Oto —

„U w a g i n a d m y ś l a m i d o z a m i a r u p o l e p s z e n i a b y t u w ł o ś c i a n"

— czytał z uciesznym patosem. — A napisał to nie jakiś chłystek, ale człek znakomity i szanowny: imć generał Kosiński, Amilkar Kosiński.

— Patrzcie-no! Generał!

— Cóż to za śmiałość ducha, olśniewająca i wzniosła, w tych słowach:

...uwagi!

...nad myślami!

...do zamiaru!

— Proszę, ileż tu obywatelskiej troski, ile krzepiącej otuchy!.. Jakiż to luby, jaki ochoczy statysta, ten pan generał!.. Ciesz się, kmiotku krajowy!.. Już są uwagi, są myśli i jest zamiar... ho, ho! Czekaj cierpliwie, a przyjdzie i samo ono „polepszenie bytu włościan"... o ile tymczasem nie udławisz się, nieboże, szczodrością tych uwag, myśli i zamiarów!

W nagłym podnieceniu aktuariusz ujął butelkę, lecz Kazimierz stanowczym gestem odwrócił swój kubek dnem do góry. Więc tamten machnął ręką lekceważąco, nalał do swego i wypił gwałtownie.

— Diabła mi tam do tych spraw! — mówił podniesionym głosem. — Sam pono ze szlachty pochodzę, z niewielkiej, uważasz, zagonowej szlachty witebskiej. Było się tu i ówdzie, widziało się to i owo... nad chłopem się nie rozczulam, bo, po prawdzie, nie ma nad czym, bez twej obrazy, Kaźmirku!.. Ale mnie, mówię — pasje trzęsą, kiedy trafię na jakieś takie... „uwagi nad myślami do zamiaru", psia ich mać reformatorska!.. Przeczytasz tę książeczkę, to sam ujrzysz, jak to obskurne szlacheckie szydło pana generała wyłazi z nadętego, obywatelskiego miecha!

Słyszałem ja raz — rzekł Kazimierz, chętny tematowi — na jarmarku w Sieradzu, w gospodzie jednej... Siedziało tam przy stole obywatelstwo okoliczne, przy piwie... Gadali dużo i głośno, o rzeczach publicznych, krajowych... Powiada jeden, zażywny jegomość, najwymowniejszy wśród nich: — „Włościanie, moi panowie, ta najliczniejsza, a zacna klasa narodu, na swych ramionach pracowitych opiera i dźwiga nasz byt obywateli... Czemuż jednak widzę ich wciąż jeszcze podległymi?... Francuskim prawem zdjęto z nich niewolę, lecz zawsze jeszcze chłopek jest tylko mniemanym posiadaczem tej ziemi, którą obrabia, niepewny zbierania owoców swej pracy, czasu swojego nawet nie jest panem! Czyż w wieku, jak nasz,

który się odznacza wyższym stopniem cywilizacji, swobodne życie ma być u nas udziałem tylko klasy wyższej, mniej licznych obywatelskich domów?.. Mamyż pomijać klasę najliczniejszą z ubogich chatek włościańskich, pełną cnotliwych i zacnych przymiotów?..." — Tak on to przemawiał, dłońmi wytrząsając nad stołem, jakby ksiądz na kazalnicy... Lecz ku czemuż zmierzał, jakże zakończył swoje podniosłe kaznodziejstwo?

— Domyślam się...

— Oto przypisał winę tak żałosnego położenia włościan „drapieżnej — mówił — administracji, która, wydymając jak pęcherz wiatrem swe rozkazy czczymi słowami o wolności rolników i opiece nad nimi, ciemiężyła ich coraz to nowymi narzutami to podatków, to szarwarków, to stemplów i innych wydzierstw..." Zaczem, powiada, wystarczy zniesienie podatków niesprawiedliwych, zniżenie ceny soli, otwarcie szkółek, skasowanie monopoli na wódkę, a zachęcanie do wyrobu piwa....

— Bodaj go!.. Wesoły to był jegomość!

— Radził, ale już mniej żarliwie, ułatwić chłopom nabywanie gruntów na własność, jednak tylko w dobrach rządowych... bo, co się tyczy prywatnych, obywatelskich posiadłości, to — powiada — inne w nich zachodzą stosunki i nic tam przedsięwziąć niepodobna, co by sprzeciwiać się mogło świętym i nienaruszalnym prawom właścicieli!.. Potępił wreszcie tych, którzy, biorąc za zasadę równość, to niebezpieczne — powiada — bo burzące porządek społeczności ludzkiej, prawidło, chcą postawić włościanina w inszej sferze czucia, pojęcia i swobód, co — powiada — jest tylko idealnością, skutkiem bystrolotnej imaginacji...

Aktuariusz splunął rzęsiście i znów napełnił swój kubek.

— Wiesz ty, Kaźmirku, choć-em pono sam b e n e n a t u s z witebskiego, ale ci mówię, mdło się robi nad tym, psiakrew, obywatelskim podwórkiem polskiego szlachcica!.. Tak mówię, bom widział niejedno i nałykałem się obrzydliwości!.. Cóż to za fetor odwieczny!.. Taki, jeden z drugim, jaśnie wielmożny czerep, sam ciemny i zakuty na wszystkich szwach, za światłość się ma, za luminę szacowną, za klejnot koronny nad niewiele ciemniejszą zgrają upodlonego w niewoli chłopstwa!.. Sam biedak przy swym majątku, brzuchacz rozprożniaczony, gospodarz, żal się Boże, pradziadowską modą w jałowej dłubiący ziemi rękami tej pańszczyźnianej zgrai — raczej by ten kraj pod jarzmo ościenne oddał, niżby miał widzieć przed sobą chłopa w czapce na łbie, stojącego w mało kornej postawie!

— Choćby i nasz pan Czartkowski...

— Nie on jeden!.. Takich jest mnóstwo... Wiem coś o tym, bo nie od dzisiaj aktuariat sprawuję i w niejednych dobrach to widziałem... Jakieś licho jest we mnie, że mię nosi z miejsca na

miejsce i nigdzie kątów długo wygrzać nie mogę!.. Lecz wolę i tak... Robię swoje, bo za to płacą, a jak mi gdzie nie pasuje — zabieram się ze wszystkim!

— Toś szczęśliwy, Justyś!.. Mnie zaś o zmianę trudno, siedzę tu, zawszeć między swoimi lepiej... tylko na te krzywdy i niesprawiedliwości codzienne patrzeć trudno!

— Prawda, skoro już o tym natrącasz, muszę ci wyjaśnić rzecz ważną: w tym roku gaśnie kontrakt dzierżawny pana Czartkowskiego z rządem... Wasza Brodnia, widać, intratne dobra, bo pan Czartkowski zamierza starać się o kupno wsi na własność!

— Masz-ci nowinę! — zakrzyknął Kazimierz. — Byłby to ostateczny dopust boży na tutejszych chłopów!

— Wiem, bo już od kilku dni polecił mi robić wyciągi z aktów i rejestrów tutejszej ekonomii... I więcej ci powiedzieć muszę: jest zamierzeniem dzierżawcy, gdy o kupnie tych dóbr zamyśla, większość chłopów tutejszych, jako krnąbrnych i nieposłusznych rzekomo, ze wsi powypędzać!

— Co też ty mówisz, Justyś! — przeraził się Kazimierz.

— Sam widziałem podawane do wojewódzkiej komisji listy i spisy, w których i ojciec twój był pomieszczony, jako ci włościanie, uważani za... pomyślno tylko!.. za buntowników, zagrażających niebezpieczeństwem nie tylko dla województwa kaliskiego, ale i dla całego Królestwa Polskiego — winni być wytransportowani w lubelskie, pod ścisły nadzór policji! Tak rzecz przedstawił pan Czartkowski!

— To niepodobne do wiary! — oburzył się nauczyciel. — Mogłażby stać się rzecz tak okropna, wszystkim uczuciom ludzkim przeciwna?

— Mówię przecie, że sam widziałem...

Zamilczeli nagle.

Aktuariusz wpatrzył się w płomień łojówki szklistymi oczyma; świstał cicho przez zęby jakąś jednostajną melodię.

Gdzieś od ścian, z kąta, cykał donośnie świerszcz.

Naraz Kazimierz powstał raptownie. Zatoczył się cokolwiek, zaszumiało mu w skroniach od wypitego trunku.

— Nie traćmy czasu... — mruknął.

— Taki to z ciebie kompan, Kaźmirku! — zaśmiał się aktuariusz z pewnym nieuchwytnym zniecierpliwieniem. — Ano, chodźże, chodź, do tych papierzysków...

Wygrzebał z szuflady nową świecę, zapalił ją od tamtej i ruszył ku niskim drzwiom, na których wisiała brudna drewniana tablica z dużym napisem: „Ekonomia narodowa Brodnia: Biuro ekonomiczne".

Weszli do małej stancyjki o nagich, odrapanych ścianach. Wiało z niej chłodem, jakąś niemiłą surowością. Całe urządzenie

Biblioteka Gliwice

tego biura stanowił prosty, długi stół na krzyżakach oraz wielka, pociemniała od starości szafa. W jednym z kątów sterczały gładkie tyki, obok nich na podłodze walała się taśma miernicza.

Aktuariusz utwierdził świecę pośrodku stołu, poczem, podszedłszy do szafy, długo grzebał na półkach wśród papierów. Wydobył wreszcie plik pokaźnych rozmiarów i położył go przed Kazimierzem na stole. Przyniósł jeszcze z szafy kałamarz i kilka zaciętych piór.

— Sekstern jakowy masz? — spytał.

Kazimierz wyciągnął z kieszeni cienki kajet.

— No więc, masz wszystko, mój patronie uciśnionych chłopków! — mruknął aktuariusz i spojrzał jeszcze ku oknu. — Okiennice zawarte, nikt cię nie podpatrzy...

I wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

Kazimierz od razu wziął się do papierów.

Miał przed sobą tabele prestacyjne, pięknie kaligraficznym pismem sporządzone wykazy powinności chłopskich na rzecz dworu, tak, jak ustalone zostały przy ostatniej lustracji dóbr, kiedy to brał je w dzierżawę pan Czartkowski.

Dym po dymie, zagroda po zagrodzie, wyliczone tam było poszczególnie i wyraźnie: iż taki a taki, na tylu i tylu morgach chełmińskich siedzący włościanin, odrabiać ma pańszczyznę tygodniową w wymiarze tylu i tylu dni sprzężajem, tudzież odpowiedniej ilości dni pieszej roboczizny... Normy były odwieczne, z dawien dawna ustanowione królewskimi jeszcze nadaniami. Więc całorolny, czyli pełną włókę użytkujący, odrabiał zwykle cztery dni sprzężajne i tyleż dni pieszych tygodniowo; półrolnik ze swej półwłóki dawał trzy dni sprzężajne i jeden lub dwa dni roboczizny pieszej; kilkumorgowi zagrodnicy i chałupnicy uiszczali się tylko pieszym odrobkiem.

Zajrzał Kazimierz do wielkich arkuszy kontraktu, leżącego w odpisie pod stosem papierów. Były tam określone czynsze, jakie dzierżawca opłacać miał do skarbu wzamian na należne mu od włościan prestanda: za dzień sprzężajny groszy polskich dwadzieścia, za pieszy — dwanaście.

— Otóż, co najbardziej nieznośne! — zamedytował się ciężko. — Szacunek tej pańszczyzny, niezmienny chyba od czasów króla Zygmunta... Dwadzieścia groszy za dzień sprzężajny, dzisiaj, gdy w wolnym najmie liczą wyżej dwóch złotych!.. Różnica pozostaje w rękach pana dzierżawcy, któremu skarb, zaiste, upominek czyni z chłopskiego trudu!... Oto, co najsrożej dokuczliwe i krzywdzące!

Mylił się Kazimierz, bo nie to było najdotkliwsze... Bo dopiero za tą tygodniową pańszczyzną, przeznaczoną dla orki; sprzętu zbóż i siana, zwózki i młocki, słowem dla całkowitej obróbki łanów dworskich — szły ano przeróżne i niezliczone powinności do-

datkowe, nieokreślone w wymiarze, owe g w a ł t y i t ł o k i, daremszczyzny i próżnice, mające zaspokajać wszelakie, by najwymyślniejsze potrzeby dworu.

Więc wyrabianie mat i powrósel z własnej, jako też i z dworskiej słomy, szarwarki do budowli dworskich, kopanie rowów, równanie łąk dworskich z kretowin, grabienie i zwożenie ściółki z lasów, sprawianie i kwaszenie kapusty dworskiej, tudzież buraków, zbieranie szyszek i żołędzi, obrywanie grochu — więc najuciążliwsze stróże, dzienne i nocne, z obowiązkiem rąbania drzewa, palenia w piecach dworskich i noszenia wody, więc furmanki na użytek dworu, różne zwózki i wywózki, wycieranie sadzy w kominach dworskich, pomoc do kuchni dworskiej w naturze, albo na koszt chłopów utrzymywana.... więc pomoc przy robieniu piwa, zdejmowanie skór z bydła padłego, tłuczenie oleju i czyszczenie studzien, więc dawanie worków na wszelkie potrzeby dworu, dostarczenie szczawiu, jagód i grzybów, chrzanu, jałowca i berberysu.

Ten długi rejestr regulowany był arbitralnie wolą dzierżawcy — jak popadło, według pańskiego, albo i ekonomskiego zachcenia, bez zaglądania w tabele prestacyjne... Dla potrzeby dworskiej, czy zgoła nad potrzebę, dla tradycji, dla samej zasady....

Znał Kazimierz dobrze te sprawy. Alboż to sam, jako dziecko kilkuletnie, nie był posyłany do dworu, na każde zawołanie, dla obierania z drzew owadów, lub obrywania owoców pod groźnym i wszystko widzącym okiem sługi folwarcznego? alboż nie pomagał ojcu przy myciu i strzyżeniu owiec dworskich, przy robieniu postronków dla dworu, przy rżnięciu trzciny na trzęsawiskach Warty, przez włodarza nakazanym?

Lecz nie czas było na wspominki... Świeca spalała się powoli, trzeszcząc i pryskając. Kazimierz rozłożył swój sekstern i jął się żmudnej pracy wypisywania z tabel drobiazgowo i sumiennie — dym po dymie, zagroda po zagrodzie — ustanowionych prawnie prestacyj i powinności chłopskich.

„J a g u s i a k I g n a c, n a p ó ł w ł ó c z k u, r o b i d n i s p r z ę ż a j n y c h c z t e r y, c z y n s z u d a j e z ł o t y c h 3, g r o s z y 10, o w i e c 2, k a p ł o n ó w 4, j a j 12.

M a t u s W a l e k, n a ć w i e r c i, r o b i d n i p i e s z y c h p i ę ć, c z y n s z u d a j e g r o s z y 85, o w i e c 2.

A d a m u s P a w e ł, n a z a g r o d z i e, r o b i d n i p i e s z y c h d w a, c z y n s z u d a j e g r o s z y 25.

P i w o w a r s k a A g a t a, n a c h a ł u p c e, r o b i d z i e ń j e d e n..."

Przez ścianę słychać było ciche, a zawzięte świstanie aktuariusza.

W pewnej chwili drzwi otwarły się nagle. Szymkiewicz stanął w progu z głową zadartą; szeroko, a cokolwiek niepewnie rozstawił nogi w brązowych pantalonach. Z twarzy pociesznie wykrzywionej, z zarumienionych policzków, tudzież z oczów szkliście połyskujących widać było, że nie darował rozpoczętej z Kazimierzem butelce...

Wyjdę na chwilę, kochaneczku! — mruknął chrapliwym głosem. — Daruj, że pozostawiam cię... te... samego w tej chałupie... ale, uważasz, za jakie pół godzinki... tak, najdalej!

Wykonał przy tym jakiś nieokreślony, obejmujący ruch lewym ramieniem.

I wyszedł, zamykając drzwi niepewną ręką.

Kazimierz uśmiechnął się. Przez chwilę nadsłuchiwał kroków, nierówno stąpających w tamtej izbie, a potem przez podwórze, za oknem. —

— Justyś poczciwy — pomyślał o przyjacielu — ale go trunek gubi!.. Zniszczy on się kiedy ze szczętem...

(„Kordian i cham")

STEFAN ŻEROMSKI

KOMORNICY

Łaził Baryka po wsi, wstępując do chałup nowopoznanych gospodarzy. Badał tu zwłaszcza życie bezrolnych komorników, których było niemało we wsiach sąsiednich, otaczających wieńcem na przygórkach rozrzuconym Chłodek, leżący w dolinie. Komornicy — byli to chłopi i ich rodziny nie posiadający wcale roli, a zamieszkujący „kątem" u gospodarzy, przeważnie małorolnych, którzy jednak posiadali właśnie skrawki roli, własne chaty, stodoły i obórki. Komornicy chodzili na zarobek do dworów, służyli za fornali i ratajów, a także zarabiali u bogatych chłopów, jako najemnicy i parobcy, w gospodarstwach włościańskich dostatnich, lepiej prowadzonych i zasobnych w inwentarz. Życie komorników było nędzne nad wyraz. Latem wychodzili na zarobek w bogatsze okolice. Niegdyś, przed „wielkimi wojnami" wędrowali masowo za granicę Słowiańszczyzny do rdzennych Niemiec, jako „obieżysasy". W czasie wojen rozmnożyli się, narośli i wypełnili wioski i wiosczyny. Wojny nie wygubiły ich, lecz właśnie rozpleniły — nic im nie przydając. Wielu z nich skrwawiło się, pokryło ranami i zdobyło kalectwo w walce o wolność narodu polskiego, a ojczyzna, w nowe państwo przekształcona, nie zdołała nic jeszcze dla nich uczynić, zajęta ogólnymi biedami i ciągłym zmaganiem się z zewnętrznym

wrogiem. Czekali cierpliwie — żyjąc w swych kątach, na cudzym przykominiu, śpiąc na ławkach i po zapieckach, nie mając własnego domu i nie mając nic zgoła, co by swoim nazwać mogli. Był tego po wsiach, wśród posiadaczów i półposiadaczów, tłum, mnogość, powszechność. Słaniali się po drogach, jako dziady, tłukli się po dziedzińcach zabudowań, plącząc się i nie wiedząc, o co ręce zaczepić. Jakże straszną była ich zima! Jakże potworne wśród nich grasowały choroby! Jakież katusze znosiły kobiety tego klanu pariasów, gdy w ich potomstwo uderzały „krosty", albo to straszniejsze, co ściśnie w gardle i zadusi nieletnie dzieciątko, niczem bezlitosna kuna, „ćkórz", wytracając całe kurniki ptasich piskląt. Przez szpary we wrótniach stodółek przypatrywał się starcom i staruchom, wywleczonym z ogrzanych chałup przez dzieci i wnuki zdrowe „na umarcie" w mróz, zawieję — złożonym na snopku kłoci, aby prędzej „doszli" i nie zadręczali żywych, spracowanych i głodnych swym kaszlem, charkaniem krwią, albo nieskończonymi jękami. Podziwiał tę pierwotną, barbarzyńską bezlitość, która jest nieuniknioną ekonomią życia, życia takiego, jakie jest na wsi.

Plątał się teraz wśród mieszkańców wiosek, przypatrywał się ich robocie i odpoczynkowi, wglądał w ich „garnusie" przystawione do cudzego ognia, badając, co też jedzą. Przebiegał nawłockie lasy, obserwując źle żywionych podrostków, obdartusów i sankiulotów, wyschłe, schorzałe babiny, jak kulkami obłamywały gałęzie suche, a potem wiązki ich dźwigały na plecach, upadając pod ciężarem — wlokły się poprzez równinę śniegową, ażeby w mróz srogi ogrzać ręce i warzę zgotować przy ogniu świętym. Zaprawdę, gdy huczał srogi polski wicher — serce mu nieraz pękało. Pękało tak szczerze i głęboko, iż własne jego zgryzoty przymierały...

(„Przedwiośnie")

WANDA WASILEWSKA

DZIEŃ CZWORACZNY

Dzień czworaczny był inny, niż dworski. I był inny, niż nawet wsiowy dzień. Miał osiemnaście godzin. Ni mniej, ni więcej. W zimie skracał się trochę, kurczył późnym świtem i wczesną ciemnością.

Ale w wiosnę, lato i jesień miał właśnie tak. Osiemnaście godzin.

Pęczniał. Rósł. Wlókł się długim, spoconym łańcuchem. Przewalał się mokrymi skibami, bił w nos ostrym zapachem

stajni, kurzył w oczy gościńcem, spadał na plecy ciężarem snopów. Kołatał się, trzeszczał, wrzał, przez osiemnaście godzin.

Rano zaczynało się przed ranem.

Na ciemnym niebie powoli zaczynały tonąć gwiazdy. Wtapiały się w ledwo, ledwo dostrzegalnie pobladłą otchłań, rozwartą nad ziemią. Daleko, na wschodzie, znaczył się, jak blask dalekiego pożaru, rudy, wąski, posępny pas.

To wstawał czworaczny dzień. Skrzypem żórawia u studni, piskiem otwierających się drzwi, echem kroków po wybrukowanym przejściu ku stajni.

Rozwidniało się, powoli, powoli. Rudy pas jaśniał, rumienił się różową, świetlistą mgiełką. Niebo bielało. U skłonu, nad czerniejącym lasem migotała jedna gwiazda, jak diamentowy gwóźdź.

Ta pora ożywała parskaniem koni, zgrzytem wywlekanych na podwórze wozów, siorbaniem końskich aksamitnych chrap w cebrach i putniach, chrzęstem owsa w końskich zębach.

Siwy od rosy był świat. Każdy krok po trawie znaczył się wyraźnym, jak w śniegu odciśniętym śladem. Ale był ciemny, zielony, miękki.

Teraz wyłaziły już z czworaków zaspane dzieci. Szły sikać pod czworaczny mur, drapiąc rozczochrane głowy, wyplątując z włosów źdźbła słomy. Dreptały powoli z powrotem, niosąc w naręczu połupane drzewo, porąbane choinowe gałęzie, bo kobiety rozpalały powoli ogień.

Ale nim siny dymek cienką strużką wywinął się z kominów, odjeżdżały już wozy w pole, pokrzykiwali z oddali chłopi, wyludniało się podwórze.

Teraz kobiety szły do stajen, wyrzucać gnój, doić. Nim pierwszy promień słońca zwiastował się na kościelnej wieży, rozzłacając ją w śmigłą iglicę, już odwalony był dobry kawał czworacznego dnia.

A potem szedł dalej, niepowstrzymanie, godzina za godziną, znacząc się brudem za pazurami, przyklejając zgrzebne koszule do pleców, nabrzmiewając grubą żyłą na czole, dysząc umęczonymi płucami.

Pełny aż po brzegi, aż po ostatnią minutkę był czworaczny dzień. Bezlitosny, twardy i nieustępliwy, wyżyłował, wycisnął, wymiędlił.

Nie dziwota. Był opłacony przecie, czworaczny dzień, zgodzony, nie za darmo.

Za czworaczny dzień był przecie czworaczny dach nad głową. Cztery ściany. Obejmowały ciasno czworo, pięcioro dorosłych ludzi, i nie policzyć już, ile drobiazgu. Obejmowały ramą dwa wyrka, i to posłanie na polepie glinianej, na którym spali ci, co się nie pomieścili na wyrkach.

Za czworaczny dzień było pół morga ziemi pod ziemniaki. Nie byle co, tylko pół morga ziemi.

A ziemia zawsze ziemią, choćby podmakała stawową zgnilizną, choćby rozsypywała się lotnym piaskiem, choćby zatykała się nieużytą gliną. Zawszeć ziemia-żywicielka, dworskich rozległych łanów siostra rodzona.

I było za czworaczny dzień siano dla krowy, jaki taki ceberek pomyj, odrobina sieczki, żeby bydlę nie zdechło, boć grzech bydlęciu nie dać strawy. A że czworaczną strawę miała, tak przecie musiało być. Czworaczna krowa.

I było drzewo, żeby miała czym fornalska baba zapalić w piecu, ugotować ziemniaków i wodzianki, zupy z pokrzyw we wczesną wiosnę, jabłczanki z odpadków dworskiego sadu na jesieni. Zielone, mokre, choinkowe gałęzie, spróchniałe pniaczki wierzb, pokryte korą okrawki desek z tartaku.

Wypłacał się czworaczny dzień ośmioma korcami ordynarii. Choć ordynaria ordynarii nie równa, osiem korcy było zawsze. Czasem zboże ciemniało sporyszem, czasem nadgryzła je śnieć. Czasem sypało się szarymi ziarnkami kąkolu. Ale zdarzało się, w dobry rok, że zabłysło szczerym złotem jasnych, tłustych ziaren.

Supłał się czworaczny dzień osiemnastu rublami rocznej pensji. W chuścinę, schowaną głęboko w skrzyni. W papierowe zawinięcie, zatkane za obrazem.

Każdy miał swoje własne, przemyślnie znalezione miejsce na owe ruble. Spocone, czerwone z wysiłku były ruble. Trzeba było je dobrze chować, dobrze skryć. Żeby się nie ułakomiło czyjeś oko na fornalski rubel.

To był właśnie czworaczny dzień. Był dla chłopa, dla baby i dla dziecka nawet.

Chłop orał, siał, młócił, kosił, rąbał. Kobieta doiła, sprzątała, żęła, plewiła, przędła, łuskała, skubała. Dziecko pasło, przynosiło, zaganiało gęsi, pucowało podwórze dworskie z chwastów, nosiło wodę. Ledwo stawało na nogi, uczyło się rozumieć, że i ono należy do czworacznego dnia.

Że należy od urodzenia aż do śmierci. Wchodziło prędko w tryb osiemnastu godzin. Jak ojciec, jak matka, jak wszyscy. Bo taki był fornalski porządek rzeczy.

(„Ojczyzna")

KTO JEST NA WSI BIEDNY

Pytanie samo, wcale nie tak proste, przeciwi się swą pozorną paradoksalnością dwom przeważającym w materii tej o wsi opiniom, opartym zresztą jak wszystkie komunały dotyczące wsi u nas, na legendzie. A i opinie te kłócą się ze sobą, ba całkiem nawet są sobie przeciwne, bowiem z dwóch sprzecznych rodzą się podłożeń: irytacji mieszczańsko-zazdrosnej, lub sentymentu ckliwo-szlacheckiego.

Dla mieszczucha, który chłopa zna jedynie z targu i widzi go rozpartego wśród sterty plonów, jakie ziemia rodzi, wieś jest synonimem bogactwa wszelakiego, o tym, by bieda prawdziwa tam bytować mogła, nie ma, nie widząc jej ocznie, wyobrażenia; nie wierzy. „To jeno chłopskie chytre skargi, żale, aby więcej pod się dobra z miasta i państwa przygarnąć". — Zaś znowu dla platonicznych patriotów wsi, znających lud jedynie z wydawnictw Macierzy i z poezji Konopnickiej, wieś jest łzawym jeziorem „niedoli", a każdy chłop, bronujący rolę „biednym kmiotkiem". Zauważyć tu trza jednak, iż brutalny brus wojny dużo tej szacownej śniedzi z myśli i uczuć owych panów starł. Ów „kmiotek" zrealnił się też ich oczom, gdy począł bronować w sejmie. Mają doń o to pretensję, że im uczynił zawód.

W międzypolu tych dwu opinii jest gama bledszych, pośrednich. Oto np. dla inteligenta, który na krótko w roku w czasie urlopu, ferii, może wyrwać się na wieś: „na świeże powietrze" i drogo za nie płaci, każdy mieszkaniec wsi, nawet biedak już jest bogaty przez to, że cały rok boży bezpłatnie ma świeże powietrze. Co jest też mniemaniem mylnym; bowiem chłop jeno przez lato chlipnie owo powietrze świeże, wcale zresztą jego cenności nie czując, a przez całe długie zimy bytuje w zatęchłej chacie, zatykając szczelnie szpary, by się do wnętrza nie wcisło.

Pomińmy jednak plotkę, legendę czy żart, uważając to jeno, jak się iście rzecz ma.

Zapewne — są wsi z natury bogate — są też biedne, jakby z góry przez Boga skarane — lecz na ogół, w uwarstwowieniu majątkowym wsi, jak w każdej związanej z sobą społeczności, jest stopni sporo, są różnice, są bogaci, są biedniejsi, lepsi i pośledniejsi, ba i zgoła wreszcie biedni.

Cóż tu sprawdzianem stopnia zamożności czy schodu nędzy? Postrzeżenie samo? — Myśli. Mapki gruntowe? — Te martwe są, jak pustać, którą wyrażają. Najlepszą miarą,

jak wszędy, będzie miska. Sytość i głód — w tych ramach wszystko się obraca.

To za podstawę niemylną przyjąwszy, łacno w gąszczu osiedlowych zagmatwań dopytamy się do istotnej biedy.

Kto naprzód we wsi jako bieda rzuca się w oczy? Juści dziad, chodzący po prośbie. Rzekniesz o nim do gazdy litośnie, a gazda na to, gniewny na los, odpowie zgryźliwie:

— Ba! Cóż takiemu... Święty ma czas. Chodzi se — dni wybiera — jak po konwisyi. Boga ino prosi, by ludzi w chałupie zastać, coby po próżnicy nóg nie trudzić. Dadzą mu — jak nie tu, to tam — i nawiąże, nazbiera, ślebodno by tym familię wypasł. Posiedzisko przy ludziach ma — sam jest, o nic się strapiruje. A tu człek musi dobrze łbem nakręcić, to stąd to zowąd nazabiegać, żeby wszystko w chałupie obżywić. A znowu odziać to jako tako, obuć — a podatki, a opłaty różne, a diabli wiedzą co — nigdy głowy spokojnej do pościeli nie przyłóż. Już by on się — choć je dziad — nie chciał, wierzcie, z moim miejscem mieniać.

Kto drugi postrzeżeniu zewnętrznemu podpada, jako bieda na wsi — to chałupnik bezrolny. Chata jego przy zagrodzie bogacza, to jak jaskółcze gniazdo przy osiedlu jastrzębiem. Zajrzeć jednak tu i tam... W izbie bogacza zgiz, brud, ścisk — kury, prosięta, cieląt parę (bo w stajni za pełno), dzieci umorusane, kurz od lat nie omiatany, bo przy zajęciach gospodarskich czasu nigdy nie ma na porządki; podczas gdy w izbie chałupnika czysto, dzieci umyte, piec i ściany wapnem obielone, ludzie tu, nie mając wciąż prac gospodarskich na głowie, mogą chwil trochę dzieciom w izbie poświęcić. To samo z warzą i jadłem. U gospodarza przede wszystkim bydło trza napaść, owce, świnie, potem najemnikom dać — ludzie domowi na ostatnim planie. Cóż z tego, że jest pełno w sąsiekach, w komorze, kiedy nie ma czasu ustroić. Nawet niedziela zajęta. Przy zabieganiu o wiela, marny żywot: nędza bogacka.

Chałupnik wprawdzie skromnie ma, ale co ma, to żona mu godnie przystroi i poda. Niewiada więc, kto w rzeczy biedniejszy: chałupnik czy sąsiad-bogacz? — Biednym naprawdę — jak widzimy — chałupnik bezrolny nie jest.

Biedy istotnej trza gdzie indziej szukać. Kryje się ona w cieniu, w kątach zamożnych i niezamożnych chałup. Są to ci lub te, najczęściej te, zwyczajnie najstarsze z dzieci, więc najwięcej pracą na gruncie i koło młodszego rodzeństwa sterane, albo ułomne, którym wydać się za mąż nie udało, zaczem wolą czy zapomnieniem rodzica od dziedziczenia cofnięte i pozostałe na łasce brata albo siostry, z jakimś tam zagonem

lub bez, z prawem garnka przy ogniu i kąta na barłóg w izbie. — Jeżeli w chałupie zgoda, brat dobry, bratowa ludzka, i jeśli biedota owa też nie przykra, to jeszcze żywot jej jest znośny: co mogą, to jej podadzą, do miski wspólnej zawołają, w razie chorości nawet się zaopiekują. Ale jeśli w domu wrogość, to Boże ratuj. O ten garnek przy ogniu, o opał, o kącik w piwnicy czy na strychu — nieustanne przeswary i kłótnie. Każda łyżka kością w gardle staje, łzami się soli. — Póki jeszcze zdrowie jakie takie onej biedocie służy, to robi temu owemu z sąsiadów czy to przy wieśnie, przy żniwach, czy przy kopaniu; za to dostanie czasem zagon pod ziemniaki, ten jej da chwaści kapusty do zakiszenia, ów ziarna — jakoś się bieda popycha. Lecz gdy zdrowie się straci, a w domu wrogość zacięta — tedy już od nikogo nic; za darmo nikt nie da; trza się obyć suchym ziemniakiem bez soli, jeżeli jest by ziemniak — i pozostaje przesypianie długich dni o głodzie. Mogłaby jeszcze iść żebrać, jeśli zdoła iść — lecz ta pozostała resztka honoru familijnego od tego ją wstrzymuje.

To jest co się zowie: bieda. — *(„Listy ze wsi")*

FRANCISZEK MAGRYŚ

Z ŻYWOTA CHŁOPA

Czasy popańszczyźniane były ciężkie, często na przednówku u kmieci brakowało chleba i musieli go kupować, a zagrodnicy musieli zadowolić się chlebem owsianym i bywało, że z głodu zbierali na wiosnę różne zielska i jedli je. Zboże rodziło się licho, bo ziemia pod zasiew nie była dobrze znawożona, ani uprawiona (Kmiecie mieli pługi drewniane, okute tylko na końcu, a spod spodu była blaszka. Brony mieli takie jak i teraz, tylko dawniej były niezgrabne, o gwoździach krótkich, grubych, zjeżdżonych zwykle, ze słupkami drewnianymi, ciężkimi. Pamiętam jeszcze i takie kule do hakowania, że drzewo na nich było dębowe, ciężkie, do 25 cm grube. W robocie za końmi szły one ciężko, a korzyść z tej roboty była mała, bo one tylko po orce „pisały"). Uprawiali wówczas włościanie po największej części owies, żyta już mniej, a pszenicy, jak i jęczmienia bardzo niewiele. Do siewu brano zawsze drobne ziarno, a pełniejsze odbierano na chleb. Kapustę i ziemniaki zawsze mieli przy domu, ale zawsze wszystkiego brakowało. Kmiecie mieli gruntu 20 do 40, a nawet 50 morgów. Chowali 2 albo i 4 konie, parę wołów, do 3 krów. Konie były piękne, bo je pasano po nocy na pastwiskach (często i poza pastwiskiem, na cudzym). Orali zawsze z ca-

lego czy to ściernie, czy jakieś ugory, zawsze dopiero na wiosnę, z tego powodu było dużo traw, chwastów, a rola była zwykle taka, że wszystkie skiby można było policzyć. Taką rolę po wierzchu broną podrapali, aby bodaj cokolwiek ziemi umleć, to też w żytach miewano tyle wyczki, że jak żeniec poruszył zboże sierpem, to się z dziesięć kroków od niego zboże ruszało.

Skoro pszenica nie urodziła się, mówiono, że to dlatego, bo była na nowiu siana. Był to również okres zarazy na ziemniaki, na którą nie było rady. Gniły szybko, a przyczyna była także w tym, że je kopano bardzo wcześnie, bo już z początkiem września. (Księża z ambony głosili, że to Pan Bóg pokarał ludzi, że wódkę z ziemniaków robili i upijali się). W tych latach głodu żebrzących było o wiele więcej niż dzisiaj. W jednym dniu przyszło nieraz do domu dziesięć osób z prośbą o wsparcie, tym bardziej, że niejeden żebrak musiał kilka domów obejść, zanim w którym dostał łyżkę strawy. Zdarzało się, że matki, nie mając czym żywić swych małych dzieci, podrzucały je w sąsiednich wsiach u którego z gospodarzy. Był i w naszej wsi taki podrzutek, a chowała go cała gmina w ten sposób, że każdy z gospodarzy trzymał u siebie dziecko kilka dni i oddawał z kolei następnemu. Z czasem dziecko podrosło i poszło do Albigowej na służbę. Innym znowu razem, bawiąc się po wsi, znaleźliśmy pod wierzbą leżącego staruszka. Przyszliśmy bliżej i ruszamy go, a on był już nieżywy. Zmarł z głodu i zimna, a został pochowany na koszt gminy. Jeszcze do Bożego Narodzenia jako tako nawet biedniejszy na swoim przetrzymał, lecz już w styczniu zaczynała się żebranina. Żywiono się wtedy byle czym. Żona biednego zarobnika, gdy dostała kwas z kapusty u kmiecia, cieszyła się, że będzie mieć czym pożywić rodzinę. Z kwasu robiono tzw. kwasówkę. Trzeba tu zaznaczyć, że kapusty nie szatkowano jak dzisiaj, lecz po obraniu zgniłych, uszkodzonych liści i po obcięciu części niejadalnych, tzw. głębia, wkładano ją do uprzednio nagrzanego pieca, a gdy upiekła się, zapełniano nią wielkie, pięciokorcowe beczki i tratowano nogami, a tak ubitą przykładano kamieniami. W podobny sposób razem z kapustą układano także rzepę albo buraki. Starano się u kmieci jak najwięcej kapusty przygotować, bo twierdzono, że kto ma kapustę, ten przeżyje najgorszy przednówek. Dziś nikt by nie jadł ani tak przyrządzonej kapusty, ani kwasówki, do której jako jedyną okrasę dodawano trochę mąki, a jedzono ją często bez chleba.

W tych czasach biedy i nieurodzaju było dużo guseł i zabobonów. Lud wierzył w nie, a na tym zarabiało dobrze

wielu oszustów, którzy kręcili się często po wsi. Wskutek złego odżywiania bydła, wskutek trzymania mleka w nieczystych naczyniach, psuło się ono często i było niemożliwe do picia, nie można było z niego zrobić masłą czy sera. Nie było na to innego wytłumaczenia, jak tylko to, że czarownica mleko zepsuła. Zaczęto tedy kadzić krowę różnymi ziołami, odstraszać tajemniczo wypowiadanymi zdaniami czarownice, a umiejący korzystać z sytuacji oszuści sprzedawali różne proszki na odpędzenie czarownic. Gdy zainteresowany nie chciał ich kupić czy to z powodu wysokiej ceny, czy z innych przyczyn, sprzedający grozili mu, że krowa całkiem mleko straci, jeżeli proszkami jego nie unieszkodliwi się działania czarownic. Łatwowierny i zabobonny lud, a zwłaszcza kobiety kupowały w końcu proszki i zioła, zastawiając niejednokrotnie rańtuchy i chustki, by zdobyć pieniądze. Gdy mleko było sine lub gorzkie, trzeba było kupić dziewięć szpilek i gotować je razem z mlekiem w nowym garnku nakrytym pokrywą. Wierzono, że w ten sposób czarownica, która rzuciła czary na mleko, dostanie kłucia dziewięcioma kolkami i przyleci natychmiast odczyniać czary. Czekano zatem na nią, a gdy zdarzyło się, że Bogu ducha winna sąsiadka przybyła wtedy w jakiejś sprawie, odrazu zrobiono z niej czarownicę. Powstawały stąd kłótnie, a nawet niejednokrotnie bójki. Zwłaszcza dużo było sposobów na odczynianie chorób dzieci. Skoro tylko dziecko urodziło się, smarowano je gęsim smalcem, by później nigdy zimna nie czuło, gdyż gęś nawet w największe mrozy boso chodzi i nie szkodzi jej to. By dziecko było w przyszłości silne, należało mu dać kobylego mleka, zanim nakarmiła je matka. Gdy dziecko nie mogło spać, to kobiety chodziły po czterech kątach, by mu snu poszukać i rzucały na nie znalezione tam śmiecie, mówiąc: „Panie, Panie, daj dziecięciu dobre spanie". Chorobę na dziecko tylko uroki sprowadzić mogły. Gdy nie pomagało na to zwykłe wycieranie dziecka w okolicy brzucha i mówienie przy tej czynności: „Na psa uroki, na kota sroki", trzeba było iść do rzeki najbliższej po wodę, zanim ptaki zaśpiewały i tą wodą myć je, a następnie wylać ją na dach. Miał to być środek niezawodny. W przypadku choroby u starszych należało chorego kąpać, a wodę z kąpieli wylać w miejsce, gdzie schodziły się trzy płoty. Prawie każda kobieta wiejska, a często i chłopi nosili kołtuny, skoro tylko cokolwiek im dolegało. Sądzono bowiem, że nie trzeba w przypadku choroby włosów myć i czesać, gdyż wszelka choroba we włosy wchodziła. Takie skręcone i zaniedbane przez niechlujstwo włosy obcinano po chorobie i wrzucano do starych wierzb lub za-

tykano za dach. Zresztą z trudem znaleźć było można człowieka, który by włosy takie obciął, bo wierzono, że to zaszkodzi i temu, kto odciął kołtun, i temu, kto go nosił. Kołtun zapuszczać kazali nawet sami lekarze, tak silna była wiara, że to pomagało choremu. Podobnie było z leczeniem za pomocą upuszczania krwi. Ktokolwiek zachorował, szedł do cyrulika i ten upuszczał krew, bez względu na to czy chory miał jej za dużo, czy też za mało. Wiele innych zabobonów i przesądów można by tu jeszcze wymienić, lecz na tym poprzestanę, gdyż chciałem tylko ogólnie scharakteryzować niski stan kultury umysłowej, jak przedtem nędzę materialną ludności mej wsi rodzinnej w czasie mych lat młodzieńczych.

(„Żywot chłopa-działacza")

LEOPOLD STAFF

TRÓJCA PÓL JESIENNYCH

Pola ogłuchły. Wczora pełne gwaru,
Brzęku kos, śmiechów i śpiewu dożynek,
Dzisiaj zapadły w sen, jak mocą czaru
W cichy spoczynek.
Sposępniał w ściernisku szarości popielnej
Zagon rozległy, opuszczony, goły.
Łany są, jakby po uczcie weselnej
Sprzątnięte stoły.
Jest, jak nazajutrz po świątecznych godach:
Ranek nieraźny, oniemiały, ślepy.
Jeno gdzieś w dali po wiejskich zagrodach
Klekocą cepy.
Pies na łańcuchu nawet nie zaszczeka
I gnuśnym członkom w budzie szuka dogód,
Czasami tylko poranny z daleka
Zapieje kogut.
A już za pługiem wychodzi na rolę,
Nie wyłuskawszy jeszcze ziaren z snopa,
Troska o jutro, która orze pole
I czoło chłopa.
Ziemia, co ludziom przyniosła zbóż plony,
Raczy też wierne oraczowi ptaki:
Po pokłośnicach zbierają i wrony
Tłuste pędraki.
I ciągnie orszak w porządku niemylnym,
Trójcy pól naszych, świeżym bruzdy torem:
Koń w pługu, za nim zgięty chłop, pod pilnym
Wrony dozorem.

ZAKUCZNIK HULA

Takiej biedy wieś nie spamiętała. Za wszystkie swoje czasy. Różnie się przecie dawniej przytrafiło, ale do tamtych strafunków ani nawet przyrównać dzisiejszego skweresu. Taki ucisk doli-niedoli. Były wkiejś głody, były słabości, juści nieraz bieda zbłądziła w zapłocia i tłukła się tam krótko czy długo, po staremu, zwyczajnie, żeby ino wieś nie sparciała w dosytku. Ale tamto licho — to nie to, co dziś. Tamto licho przemierzyło swój czas i poszło. Długo nie dawało znać o sobie, niekiedy zajrzało tu i ówdzie, tknęło ciężkim paluchem tego i owego, ażeby znów się wynieść we światy. Tamte biedy przychodziły na wieś dopadkiem, od niechcenia, jakby se żarty stroiły. Bieda była postrachem, zmorą, zmyślną bajką, mówioną w głuchy wieczór zimowy. Nie to, co dziś...

Dziś wsią rządzi bieda. Nikt inszy prócz biedy. I dawno tu włodarzy. I nie ciska swego panowania. Dobrze jej tu, krzepko się ma i swojo, że gdzie jej porzucać wiejskie dziedziny.

— Oj, na nic nase zapobiegi, na nic — skarży się wieś. — Horujes dowyrypu, mordujes się dowielamożności, zyły z siebie wyprówos, i co mos z tego. Bzyk! Robis na ten wiater, co po świecie wieje. I na zakucnika*). O, ten drań będzie dopiro gieltował. Un sie uciesy z nasy procy.

Zakucznik. Nie znali go na wsi, aż dopiero bieda go tam zaprowadziła. Wylągł się z biedy nikiej robak ze ścierwa i chyba wraz z biedą wkiejś zecnie. Biedzie wysługuje się pokornie, biedzie służy za parobka, bieda go na wieś przysyła i każe dręczyć i gnębić-mołachcić bez ustanku wsiowy naród. Bieda mu dała ogarnięcie na grzbiet, nakarmiła suto, trzos mu wypchała wydartym ze wsi groszem. Nędznym szurgotem byłby dziś, jeśli by bieda go nie wsparła. Ino modlić się mu, żeby biedzie na wsi nigda końca nie było. Bo bieda dla zakucznika — to raj!

Zakucznik. Twarde serce musi mieć taki panek. I bez sumienia chyba wychodzi na wieś za zdobyczą. Nie obchodzi go nic. Niczym poruszyć się nie da. Ani prośbą, ani płaczem, ani klątwą co najsroższą. Zimny i nieprzystępny robi swoje — i już. Krowę ostatnią zabierze — to zabierze. Za nędzny grosz skarbowy wyciągnie ci szkapę z obory, zboże ci sprzeda, ostatek od gęby zagrabi. Mądry swoją mądrością ze

*) Sekwestrator.

skarbowych papierów — gieltuje na biednych ludziskach, co się przecież nie spotrafią nauczyć wszystkich ciężarów i obowiązków i opłat i podatków, bo i jak się tu połapać w tylu różnościach zawiłych. Gieltuje na braku grosza, na niedomogach w upłacie podatku, na spóźnionym czasie, na takich i siakich przewinach.

I chytry jest i śtuder ten zbój-łupieżnik! Wpada na wieś w najpilniejszym czasie roboty i wtedy dopiero zaczyna swoje. Zna chłopa. Wie, że takim podejściem musowo się z niego wyszarpie choćby najostatniejszy ostatek... Smykałkę ma... oj ma i przez to tyle u biedy znaczy.

Zakucznik. Nikogo na świecie wieś tak nie cierpi, jak tego łyczka. Nienawidzi go wszystką mocą udręczonej duszy. Piekli się i wścieka i w furię wpada na sam widok takiego panka w zielonym kaszkietku.

Zła różnego nawyprawiał zakucznik tyle, że na diabelskiej skórze nie spisałby. Wojenna grabież i tamto niszczenie chłopskiego dobytku niczym jest nieraz wobec tego, co dziś zakucznik ze wsią wyczynia.

Zuchwalstwo zakucznika rozhulało się i bryka swawolnie, bez ustanku. Ukrócić zucha, pohamować. Nie ma jak, bo któryż sposób nada się skutecznie do obrony? Zakucznik zasłoni się prawem, nakazem, swoim musem niezbytym. Co mu wtedy zrobić?

— Ja też żyć muszę. I mnie na chleb potrza — broni się przed cięższym zarzutem. I poradź co na to, na czasy potworne, co wyganiają miejskiego łyka, żeby szedł na wieś i żył z chłopskiej krzywdy. Oj! dolo, dolo!

Więc trza się bronić jakoś. Żeby ino zbruć natręta, dać mu co w łapę, odwlec do czasu ciężkie terminy. Żeby ostatniego bydlęcia z chlewa nie wywlókł. Bo to i kłopot i wstyd i hańba wobec całego świata. Trza ugłaskać rabuśnika, a jak się nie da ująć łagodniej, to go podejść chyłczkiem i w pole wyprowadzić. Sili się chłopski rozum na prześpieg skuteczny, wychytrza się najzmyślniej i jeszcze się nie poddaje, choć widzi, że na nic wszystkie zabiegi. Zacina się uporem i bywa, że łacniej się obejrzy za czymś twardym na łeb zakucznika, aniżeli — pokornie się ułoży pod jego wolę. Ile wsi i wsioskiego pogłowia — tyle sposobów wymyśliło się tam dla odporu. Zawichrzył zakucznik spokojną wieś.

...Na Ocinku zaczęły się już żniwa. Długo się na tę pracę czekało w tym roku. Wiosna się spóźniła, potem przyszły zimna, zboża powolnie dochodziły na pniu — a wieś dawno już zmełła ostatek mlewa. Nie u jednego chleb zeszedł ze sto-

łu hola czasu temu, kiedy nareszcie można było poklepać kosę i wyjść do wyczekanej roboty. Żeby jednym tchem wyrobić tę skibkę posilnego chlebusia. Więc wyległa wieś na pola, rozdzwoniły się kosy, pokładło się żyto sznurami garści. Robota paliła się — nieustanna, wysilona, chłopska.

Na odwieczerzu przytrafił się właśnie ten kłopot. Jakby na nakaz poleciały ścieżkami ode wsi gromadki dziecek, bab, staruchów i nakierowały się ku chłopom koszącym. Ten i ów to zoczył, kosę na bok odłożył i spojrzał z niepokojem. Co się tam stało na Ocinku!

— Zakucnik!...

Poszła po polach nowina. Ustało koszenie, ogłuchło tyle kos. Trza iść! Nie zaciążyła tak robota, jak ta wieść szkaradna. W taki czas! Kiedy każda chwila droga, kiedy robota pili i słoty przyjść mogą i chleba nie ma ani na kęs. Och, bodaj to tyle — owyle wzięło!

Zakucznik siedzi u sołtysa i śle po chłopów coduchu. Rozparł się wygodnie, papierosa drążkowego ćmi, pobok posadził dwóch mieszczaków do brania fantów — i co mu! Niech się co chce dzieje, aby ino on załatwił co swoje. Właśnie tak lepiej dla niego, jeśli tam wieś roboty najpilniejsze ponapoczynała. Chłop spod ziemi grosza wygmera i za podatek da, aby ino zbruć dokucznika i jąć się napoczętej kośby. Zakucznik wie, jaki czas wybrać se dogodnie.

Idą chłopy chmarami. Ciężko i frasobliwie. Nieśmiało lub z głuchą złością. Wielgi Franuś już od progu wyzywa: — A zebyś zdech, dryniu!... Siwy Kaźmirz lazie przełamany i jakby jeszcze bielszy. Płaza Wnuczek siepie się w furii i choleruje po drodze. Anie-Płazina chlipie po cichutku i wlecze się zastrachana, bo trzeba licha, że jej Jasiek musiał dziś akurat pojechać do miasta, a ją, sierotę, samą ostawił z takim kłopotem. Idzie razem z Gieńką Soszyną. —

Giencyn chłop po szpitalach choruje — i we dwie użalają się nad swoją biedą. Ludziska ciężko się gramolą pod górę do sołtysa, idą jak po śmierć. Przy nikim pieniądz nie brzęczy. Skąd go wziąć o tym czasie?

Zakucznik rozłożył papiery i czyta każdemu jego powinności. Gruntowego — tyle, a drogowego znów tyle. Ten ma dochodowe do płaty, a inszy jeszcze odmienniejszy ciężar i sofół. Tu tyle narosło procentów i kar i należytości za upomnienia, a tam latami wisi podatek nieupłacony. I dla niego tyle a tyle się należy za dzisiejszą fatygę. I mieszczkom musowo trza dać po złotówce na łebek. Laboga!

— Kto dziś płaci! Nikt? Ano, to będziem zajmowali fanty. Ja wam pokażę!

Zakucznik obszedł wieś z sołtysem i poostawiał po chałupach akuratne papiery. Że to i tamto i owo już nic twoje na razie, dopóki nie upłacisz, coś winien. Zakucznik dziś jeszcze da spokój — i on ma litość — ale jak przyjdzie jutro wedle południa i nie będzie miał pieniędzy zładowanych — no, to zobaczycie!

Wieś myśli frasobliwie. Ludzie łamią głowy, aż trzeszczy. Trza jakoś zaradzić. Czekać zmiłowania? Nie doczeka się litości pod te czasy paskudne. Znikąd pomocy, znikąd sposobu na ten jutrzejszy kłopot. Niezbyty kłopot. Cisnąć toto na olompas? I patrzeć, jak ci zabiorą konie w czas żniwny i za byle co utrwonią? Przecie niedawno capnęli Wielgiemu Franusiowi śkapinę i zahandaczyli tak, że chłopisko nie tylko tym nie umniejszył podatku, ale jeszcze dopłacił parę złotych. Tak się dziś zdarza.

Więc o świtaniu nie do żniwa wyruszyły chłopy. Poszły szukać grosza. O! na wsi dobrze się wie, gdzie go można złapać choć na parę dni. Tam na trzeciej wsi sprzedał ktoś świnię. Może jeszcze mu co zostało tej obrady, może użyczy choć trochę. Na wyprzódki polecieli, jeden przed drugim. Żeby wcześniej, żeby ubiec inszych i zratować się przed zakucznikiem. Młodsi podyrdali na piechotę. Siwy Kaźmirz dosiadł kobyły na oklep. Kto pierwszy?!

Południe. Zielony kaszkiecik już jest na wsi. Dwóch miejskich chłopów czeka na robotę. Ludzie znoszą, co ta mogli zładować: po parę złotych, po kapce, ażeby ino zaspokoić zakucznika na jakiś czas, ugładzić go ofiarą dla jego kieszeni, żeby se już poszedł w pierony i nie zawadzał w tak pilną wyczekaną porę. A kto nic nie potrafił uszykować, ten chwyta się za tamten, wojenny sposób: oto Anie-Płazina ciągnie w dygotce trwogi swoją nędzną krowinę, ucieka z nią daleko, jak najdalej, chciałaby zapaść się pod ziemię wraz z bydlęciem, skryć się przed zakucznikiem. Byleby ujść jego ciężkiej łapie.

Nie zawsze tak gładko idzie robota zakucznikowi, nie zawsze ucieczka jest jedyną radą na dzisiejszą biedę. Jeśli jeszcze zakucznik pofolguje choć trochę, to i on ma skórkę i wieś jest z tego rada, że na krótko będzie miała opłacony spokój. Ale niech ino spadnie na wieś jakiś łoter, palus i zawadiaka — no, to już wtedy prowadzi się wojna nie na żarty.

Ilu to zakuczników wyszło ze wsi z nabitym łbem, z poobijanymi żebrami, ilu z duszą ledwie uciekło z ciężkiej

przygody. Łatwo rozpętać gniew chłopski, wściekły i na nic nie pamiętliwy. Wsadzą do kryminału za to, to niech wsadzają, ale już i strzymać ciężko ugniotu biedy straszliwej. A bieda — to ten huncwot — zakucznik! W zakuczniku widzi się tę zmorę, i tę zmorę tłucze się nieraz rzetelnie a krzepko. Po chłopsku.

A czasem śmiech wyjdzie z takich odwiedzin i rozchodzi się po wsiach, po okolicach okrainnych. Zwłaszcza jak się już baba wmiesza w te sprawy. Zmyślne bo są te wiejskie kobiety, niebojaźliwe i dzielne jak przyjdzie na to. Niejedna wyprowadziła w pole juchtrę-zakucznika.

Ot, wpada zakucznik do obory i chwyta się za jakieś bydlę, jak to we zwyczaju, kiedy podatek stoi nieopłacony. Baba łap za pomiełło i dalejże prać rabuśnika, gdzie popadnie. Idzie bitka aż miło, baba ma przewagę, bo zbrojna, zakucznik drze się i zasłania przed młocką, i jeśli nie da drapaka, to oberwie po czapie, że pies mu tego nie odejmie. Juści babę wpakują do kozy, ale co jej? Pójdzie odsiedzieć karę z weselem, bo co se użyła na draniu zakuczniku — to użyła. Łatwiej będzie później biedę upychać.

Ma wieś teraz z zakucznikiem różnych termedii sporo i kłopotu i biedy niezgonionej. Tyle już lat wojuje rozmaicie z tym pankiem, co nędzę dzisiejszego czasu bierze na swe bary i po wsi się z nią obnosi. I wygląda wieś tej pory, kiedy noga zakucznika nie stąpnie nigdy już w wiejskie opłotki. W chłopskich duszach żarzy się wiara, że wtedy dopiero powróci na nowo ten dawny, dobry czas, co się gdzieś zapodział.

(„Droga przez wieś")

WANDA WASILEWSKA

OJCZYZNA CHŁOPSKA

Krzysiak orał pod ziemniaki swój zagon, ciągnący się wąskim pasem wzdłuż stawu. Miało się ku zimie. Senna mgiełka stała nad polami, plątała się w zagajach, osiadała w kotlinach. Blade słońce tkwiło nieruchomo na wypłowiałym niebie.

Dokuczała mu kulawa noga. Rwało w niej, jak zawsze na zmianę.

— Hetta!

Paweł poganiał. Koń szedł mozolnie, wyciągając kopyta, oblepione wielkimi grudami ziemi. Nie, nie była to ziemia pod ziemniaki. Tu, bliżej stawu, jak zawsze wygniją ze szczętem. Za-

chowa się trochę tam, wyżej, wybujałych zielonych badyli, rozłożystych liści i malusieńkich, jak orzechy, bulw.

Krzysiak splunął gniewnie w bok, na końskim szczawiem zarosły spad, zanurzający się w sennej wodzie stawu.

Zośka szła od czworaków ku wodzie. Niosła w koszu łupiny ziemniaczane. Wolno zeszła w dół, ku pomostowi. Przyklękła na deskach i patrzyła w wodę.

— Karpie jej w głowie — pomyślał ze złością. Chciał krzyknąć na nią i pogrozić zdaleka biczem. Ale wtedy jakby go nagle szarpnęło.

Kiedyż to było, taki sam spłowiały dzień, tu, nad stawem.

Wyraźnie przypomniał sobie. Orze, jak dziś. Od czworaków idzie Magda. Ciężko niesie przed sobą wielki brzuch. Z którymże to wtedy chodziła? Z Zośką? Z Pawłem? Ileż to lat?

Nie, nie z Zośką. To z tym pierwszym, co pomarło. Ileż to lat? Ani chybi, trzydzieści z okładem.

Zadumał się. Machinalnie szedł za pługiem, nie patrząc, czy równo kraje skiby.

Akurat, jak wtedy. Nic zmieniło się nic. Rozmokły zagon pod ziemniaki. Zgniły, ostry zapach, płynący od stawu. Czworaczne izby, patrzące ślepymi oczyma małych pozatykanych szmatami okien. Staw, wieczyście snujący z siebie niebieskawą mgiełkę, ponocny opar, wieczorny zaduch, zmieszaną woń gnijących liści i wodnych zielsk.

Przepłynęło między tymi dwoma dniami trzydzieści lat, i więcej. Co roku orał tak samo. A przypomniało się właśnie tamto, akuratnie, jakby zapisał, jakby na obrazku w książce zobaczył.

Umarła Magda. Narodzili się i porośli Zośka i Paweł. Z niego zrobił się stary dziad.

Ale czy się zmieniło co, tak naprawdę zmieniło, żeby było inaczej?

Przystanął, bo akurat skończyła się bruzda. Trzeba było nawracać, a splątało się coś Pawłowi przy lejcach. Wyciągnął z kieszeni kozik i dłubał coś przy rzemieniach.

Wtedy, trzydzieści lat temu, poganiał mu konia Staszek. Ten, co go potem zabili w Legionach.

Ale poza tym — co się zmieniło?

Stał na swoim miejscu dwór. I czworaki. I kościół. Jednako. Po trzydziestu latach.

Prawda, było jeszcze jedno — ojczyzna.

Przysiadł Krzysiak na pługu i zapatrzył się w nią, tę ojczyznę.

Rozciągała się wąskim pasem mokrego ziemniaczyska. Tchnęła wilgocią stawu. Wyrastała długim grzbietem czworaków.

Jakaż to ona była, ojczyzna, o której nie wiedział nic trzydzieści lat temu, zdążył się dowiedzieć, ofiarować jej kulawość swojej nogi, dał się za nią tłuc tyle razy, tu, na miejscu, i w mieś-

cie, kiedy go zamykali, kiedy ledwo od stryczka się wywinął — dla tej ojczyzny?

Była ojczyzna niekończącym się czworacznym dniem. Rządcowskim pokrzykiwaniem. Krzywymi nogami, owrzodzonymi szyjami czworacznych dzieci. Łupinami, gotowanymi ludziom w garnku na strawę. Wyrkiem, szeleszczącym zgniłą słomą.

Nie odmieniło się nic.

Wsiąknęła w ziemię krew, nie zostało po niej znaku.

Wspomniał się znagła Krzysiakowi tamten, pod gruszą, nieznanego nazwiska, przez kozaków zarąbany.

Wspomnieli się kamraci, jako i Bronek, albo i inni, zastrzeleni, na szubienicy zawiśli, w kryminale zgnojeni za tych dawnych, przedojczyźnianych dni.

Nie pamiętał, nie wiedział nikt. Zgniły w ziemi ich kości. A ci, co zostali, dalej szli po dworach służby szukać.

— Za to cię ubili pod gruszą, młodzieńki, za to cię w kawałki posiekali, żeby dalej po czworacznej ścianie plenił się zielony grzyb. Żeby dalej rządca po pysku prał, żeby dalej wymierały dzieci na każdym przednówku, w każdą mroźną zimę i deszczową jesień — myślało się Krzysiakowi głupio, żałośnie. Bo tamten przecie słyszeć nie mógł. Ileż to lat, jak w ziemi leży?

— Trza orać, tato. Nie skończym na południe.

Podniósł się z pługa i ruszył, mocno ująwszy rączki. Kładło się pomyślenie wzdłuż skib, bolące, niedobre, jakby sam sobie w twarz pluł.

Zlały się w jedno dwa dni, choć je grodziło trzydzieści lat. Jednakie były. Nie odmieniła nic krew i owa buńczucznie śpiewana piosneczka, wojenna piosneczka tych, co wierzyli, że za czworaczną izbę życie ważą, że się za chłopską dolę idą ująć, że scementują swoją młodą śmiercią nowe, inne, jak się to powiadało wtedy, sprawiedliwe życie.

Miękko krajał pług wilgotną ziemię. Skiby lśniły, jak wyszlifowane. Paweł świstał ze złością przez zęby. Bo ojciec ladajako prowadził pług, zatopiony w jakieś swoje wspominki.

Ostało wszystko, jak było. Twardo stał dwór. Lamentowała panna, że się jej nie wiedzie, ale przecie lamentowała tak i stara dziedziczka. Obie umiały dobrze na fornalach sobie to odbić.

Jednako szły dworskie dni. Dalej stały czworaczne dzieci nad stawem, w zachwycie na tłuste karpie patrząc. Dalej śmigały pośpiesznie przed dworem, usiłując w przelocie coś we wnętrzu zobaczyć. Dalej otwierały gęby ze zdumienia, kiedy zajrzały do sadu, na czerwone, wielgachne jabłka, na złote gruchy, leżące w wacie, uwiązane do palików, wielkie, jak dynie.

Dalej stał kościół, poczerniała na nim tylko blacha, ongiś nowa i lśniąca. Jak zawsze, dziedzickie, pańskie, księdzowe było wszystko. Nie chłopskie. Dziedzicka, pańska, księdzowa była

ojczyzna. Nie chłopska, jak opowiadali, że ma być. Jak w manifeście pisało, jak w gazetach stało, jak się zapisywało w sercu.

Tyle wagi miała chłopska krew, co ten gnój, w ogrodzie z wiosną wylewany. Bujało, brało z niego karmę i sok. Ale gnój zawsze był gnojem i za gnój tylko wartał.

Pomyślało się Krzysiakowi, jak się to gadało — jak będzie.

Powiadać można byle co. Gęba wydoli.

Ale teraz można było zobaczyć własnymi oczyma.

I Krzysiak patrzył. Patrzył dobrze. I widział — nic zmieniło się nic. Jednaka była chłopska dola.

Drogą od dworu zaczerniło się coś. Szła panna i ksiądz.

Jak to wtedy na koniu jechała, lśniąca, czarna i złota. Siwizna obsiadła jej teraz włosy i wąskie rysy zbiegły się w gniewny, ptasi dziób. I nosiła się czarno, jak kiedyś matka.

A przecież po dziś dzień nikt o niej nie mówił dziedziczka, tylko — panna. Tak jej to już zostało, i zostanie chyba do końca dni, aż pod szary kamień, pod rzeźbione anioły na cmentarzu pójdzie.

Ksiądz dreptał przy niej, okrągły, na gębie czerwony, gadał coś, szeroko ręce rozkładał. Trudno mu było nadążyć, bo panna szła śpiesznie, jak zawsze. Jakby ją co goniło. Więc wielką chustką ocierał z czoła pot, i drobnymi kroczkami pośpiesznie ją doganiał.

Schodzili ku stawowi. Jakoś od jednego razu, oboje, panna i ksiądz, spojrzeli razem ku orzącym. Blisko zresztą było. Tak, że popatrzył Krzysiak pannie jakby prosto w twarz.

Dawnym ruchem, od dziecka nauczonym, drgnęła chłopu ręka — ku czapce. Choć go może wcale nie widziała — umiała ona przecie zdawna przez ludzi patrzeć wskroś, jak przez powietrze, nie widząc.

Ale w tym samym momencie Paweł podciął konia tak nagle, że ruszył całym impetem. Lemiesz z ziemi wyskoczył. Krzysiak tak pośpiesznie złapał za rączki, że mu czapka spadła z głowy. Wbił nóż mocniej w czarne błoto. Paweł uderzył konia jeszcze raz.

Orali zaciekle, pośpiesznie.

A tamci dwoje zeszli ku stawowi. Stali koło pomostu i gadali coś, patrząc w wodę.

— Wiesz ty, Paweł, że to akuratnie trzydzieści roków i trochę, kiedym tu orał jednego dnia, a panna, młoda taka, na koniu tędy jechała?

— No i co? — opryskliwie, nieprzyjaźnie burknął chłopak.

Krzysiak nie odpowiedział. Przyciskał twardo rączkę pługa, bo tu był suchszy grunt.

Ale już wiedział, co się zmieniło, kiedy patrzył w zapalone gniewem, pełne nienawiści oczy syna, który dorastał.

(„Ojczyzna")

Z CHAŁUPY

I.

Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach;
Za chatami krępy sad wiśniowy;
Wierzby siwe poschylały głowy
Przy stodołach, przy niskich obórkach.

Płot się wali; piołun na podwórkach;
Tu rżą konie, ryczą chude krowy,
Tam się zwija dziewek wieniec zdrowy,
W kraśnych chustkach, w koralowych sznurkach.

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy, proste, jak wy, bez rozkoszy...

Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej! czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?!...

II.

Tam za wioską — przyjm, Ojcze nasz, dzięki! —
Jak pszeniczne kołyszą się ławy!
Żyto, jęczmień i owies złotawy
Jak zginają ziarniste swe pęki!

Wiatr od pola się rozgrał — czyż w jęki? —
Z dróg się mgliste podnoszą kurzawy,
Nad drogami, śród pokrzyw i trawy,
Skrzypią krzyże, godła łez i męki.

O, Ty Boże! o Chryste! o Panie!
Płonny owoc ta ziemia nam płodzi —
Tłuste kłosy, bo tłuste uprawy.

Nie na darmo ten wiatr tak zawodzi
I tak smętne poszumy na łanie —
Tu kłos każdy to chłopski pot krwawy.

III.

Święty Kazimierz — powracają czajki,
Święty Wojciech — bociany klekocą,
Słońce grzeje, rowy w mlecz się złocą,
Brzmią skowronki, rychłe polne grajki.

Po murawach dzieci, strzępem krajki
Podkasane, w pasy się szamocą;
Na przyzbicach baby w głos chichocą —
„Eh kumulu! bajki, żywe bajki!"

Wiosna... wiosna wszędy życie budzi!
Jej błękity, słoneczne uśmiechy
I pod chłopskie wciskają się strzechy.

I tu raźniej biją serca ludzi,
Choć się troski za troskami tulą
Do tych piersi pod zgrzebną koszulą.

Część II
W WALCE O CHLEB I ZIEMIĘ

STEFAN ŻEROMSKI

SŁOWO O BANDOSIE

W podgórskich, kamienistych działkach kieleckich, na jałowych sapach, przez które sączy się zaskórna woda z żelaznych rudawisk, na radomskich piaskach podsośnianych, na opoczyńskich krajach-smętniskach, gdzie się „korzec sieje, kopę zbiera, a kopa korzec daje" — hoduje się dola bandosa. Siedzi przykucnięta w bruździe, pośród sczerniałej ziemniaczanej naci, kędyś pod jałowczykiem, kędyś pod kępą łopianu, na wąskim wygonie, między owsem, a żytkiem — jako pasturka, łachmanami od oka ludzkiego okryta, workiem od dżdżu. Tuła się wzdłuż gościńców, po rowach kurzem przydętych, wyciągając ku bryczkom przejeżdżającym obdartą chłopczyńską czapczynę. W kłębuszek skręca się z choróbsk tajemnych po zapieckach i werkach izb, szkarlatynek. Patrzy długo zza przepalonych szyb czworacznych na przejeżdżających paniczów wielkimi, ojczyźnianymi oczami. Płynie w białej trumience pomalowanej lubryką pod rosą święconej wody u kościelnego proga i na ugór cmentarny.

Gdy się poczyna okrutny, nikomu i niczemu nie przepuszczający przednówek, wychodzi w dal — za Pilicę rzekę „w pszenne kraje".

W pustych wioskach kieleckich zostaje jeno dziad strupieszały, oślepła, kudłata babka, koślawiec, niemowa lub obłąkana latawica. Bywa wtedy, że opuszczony stary człowiek prosi się z głodu i biedy o śmierć, jak o łaskę. Bywa wtedy, że bezsilni ludzie żywią się mąką z kory olszowej w żarnach mielonej, mleczem ziarna ledwie okwitłego żyta, garsteczką kaszy mannianej o białej rosie osmykniętej na cudzej łące.

Ciemne chaty z nisko nawisłym czarnym dachem, głucho zamknięte kluczem drewnianym na wrzeciądz bukowy zostają sa-

me. Drożyny od gościńca do drzwi prowadzące zarastają trawą. Ze wsi ucieka ostatni towarzysz schroniska ludzkiego — wróbel. W inną okolicę wynosi się opuszczony pies.

A za Pilicą, za Wisłą, w „pszennym kraju" słońce pali bandosa grzbiet, zgięty od świtu do wieczora. Twardy jest całodzienny trud na skwarze w pańskim polu! Jak mgnienie oka krótki jest sen w parną noc letnią. Od rannej zorzy po sierpem zajętym zbożu rozlega się surowa i wrzaskliwa bandoska pieśń:

„Dobrze temu dobrze, kto komu łeb odrze,
Jesce temu lepiej, kto kogo oślepi"...

Lał się bandosa pot cuchnący w szmaty zgrzebne i w rudą jego sukmanę przez wieki. Żarło go robactwo, okrywał brud i osaczała ze wszech stron tajemnicza choroba, żeby pańskie dzieciątko jaśniej świeciło zdrowym ciałkiem i galanto uczesanymi włoskami. Wyklęczały jego kolana żłobowiny głębokie w kamiennych posadzkach wysokich kościołów, wycałowały jego usta jakby nowe rany w Pana Jezusa przybitych nogach po kruchtach, żeby jaśnie pan dostojnie mógł siedzieć przed Bogiem we stalach, dumnie a pewnie spozierać na cichy swój lud, a pięknego pogładzać wąsa.

Taka jest przez wieki nasza rzeczpospolita.
Płakał ongi, przed wieloma wiekami, nad żałosną dolą żeńców polski poeta:

„Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego :
Ty wstajesz, kiedy twój czas, jemu by się zdało,
Żebyś ty, o słoneczko, o północy wstało"...

A czy też kiedy w dalekiej przyszłości polski bandos dolę swoją w kamieniu wyklęczy? Czy wycałuje ją z pana Jezusowych nóg gwoździami przebitych? Czy ją wydepce opuchniętymi nogami z nieskończonych kolein drogi między swoją czarną chatą a dalekim, pszennym krajem? Czy też ją ostrą kosą wykosi z wonnie szumiących traw, czy ją kiedy wyrznie sierpem pracowitym z jakiego zboża świętej ojczyzny? Kiedyż ustanie skarga żeńców, lecąca po rannych rosach z pokoleń na pokolenia? Kiedyż się żeńcy polscy z miłością nachylą ku zbożu dostałemu i kiedyż szerokim zamachem potęgi zagarną pokos trawy szumiącej nie mój, ani twój, ale nasz ojczysty?...

(„Słowo o bandosie")

ŚLĄZACY, MAZURZY I KASZUBI

Śląsk z Pomorzem, te dwie najcenniejsze dzielnice państwa polskiego, oderwane od niego i darowane wrogom, składają najokropniejsze świadectwo krótkowzroczności obciążonych tą wadą i tą winą naszych królów. W targach dynastycznych i w okazywaniu wspaniałomyślności pozbyli się tego, czego powinni byli aż do ostatniego wysiłku bronić. Ale tu zaszedł wypadek, który jest jednym z cudów historii i jedną z najciekawszych niespodzianek w polityce. Lud śląski, który już od XIII w. zaczął ulegać germanizacji, który w XIV i XV w. został rozdrobniony w kilkunastu księstewkach, który w XVI w. wcielony został do cesarstwa niemieckiego, który w XVII w. utracił ostatniego Piasta, który w XVIII wieku przeszedł pod panowanie Prus i dotąd już stale i forsownie był wynaradawiany, nie tylko zachował swą polskość, ale w XIX w. znacznie ją wzmocnił. Nigdy dzieje nie dostarczyły bardziej przekonywującego dowodu, że nie w warstwach szlachecko-mieszczańskich, ale w ludowej przechowuje się najtrwalej i najbezpieczniej istota narodu.

Główna zasługa odniemczenia Śląska przypada inteligencji chłopskiej. Pierwszy z wybitniejszych działaczów podjął to zadanie Józef Lompa, autor kilkudziesięciu prac piśmienniczych, między którymi najważniejszym był R y s d z i e j ó w Ś l ą s k a (1822) Za nim poszli księża również pochodzenia chłopskiego. W tym samym kierunku oddziaływało z Krakowa S t o w a r z y s z e n i e L u d u P o l s k i e g o, a także J. Smolar, redaktor łużyckich TYZDEŃSKICH NOWIN, wydawanych w Budzieszynie. Wybrani do parlamentu pruskiego chłopi, Szafranek i Gorzała, wstąpili do Koła polskiego. Założone z ich udziałem T o w a r z y s t w o p r a c u j ą c y c h d l a l u d u g ó r n o ś l ą s k i e g o rozwinęło starania o uprawnienie narodowości polskiej i używanie w mowie i piśmie języka ojczystego, zakładając przy tym stacje oświatowe (czytelnie). Powstanie, stłumione w Królestwie, wywarło na Śląsk wpływ pobudzający. Po r. 1871 zaczęto wyzyskiwać prawa konstytucyjne, organizując stowarzyszenia śpiewackie, muzyczne, gimnastyczne, gospodarcze itd. Na czoło ruchu ludowo-narodowego wysunął się Karol Miarka, odniemczony nauczyciel, który w r. 1869 objął redakcję K a t o l i k a, liczącego 20.000 prenumeratorów i założył księgarnię w Królewskiej Hucie. Chwilowo uległ złej pokusie i zgodził się na sprzedaż K a t o l i k a Niemcom za 94.000 marek, ale pod głosem wyrzutów sumienia narodowego cofnął się i zwrócił zadatek. Wytworzyła się inteligencja ludowa, która niektóre powiaty zupełnie spolszczyła. Tymczasem pod naciskiem

niemieckiej partii katolickiej Centrum duchowieństwo śląskie zawróciło z dotychczasowej drogi i weszło na germanizacyjną. Ale lud już był w poczuciu swej narodowości umocniony i przerobić się nie dał. Osaczony nie tylko przez kler, ale również przez właścicieli hut i kopalni a nawet przez socjalistów niemieckich, okazał zdumiewającą odporność przeciw germanizacji. A trzeba zważyć, że wytrzymywał tę walkę w wielkiej nędzy, upośledzony w płacach robotniczych i zagłodzony na maleńkich działkach uprawionej ziemi. Oto obraz jego życia, zdjęty z natury: „Wszechwładna, niepodzielnie nad wszystkim panująca, beznadziejna brzydota, dodajmy brzydota pruska, a ten epitet za wszystkie inne starczy. Ach, te „pruskie domy", te ulice, sklepy, suchotnicze drzewka, pole zawalone gruzami i miałem węglowym, te poszarpane pustynne przestrzenie z wymownym, ostrzegającym znakiem trupiej czaszki na drewnianej tablicy — i dymy, dymy, dymy! I owe miejsca odpoczynku i zabawy, owe knajpy, wstrętne, brudne, cuchnące nory. I nic więcej, nic więcej! Odczyt, koncert, zabawa, tego nie ma, to nie istnieje — po polsku! Nie znam nic okropniejszego nad życie robotników górnośląskich. Ładne słońce im nie świeci. Praca zabijająca, nędzne zarobki i ta nieustanna argusowa opieka pruskiego „ładu i porządku", czyhająca na każde nieobjęte paragrafem drgnienie duszy ludzkiej".

Chłopi śląscy, posiadający przeważnie gospodarstwa bardzo małe, niekiedy zagonowe, utworzyli około r. 1880 kółka włościańskie powiatowe, które zjednoczyły się pod wspólnym zarządem niemieckim w Opolu. Oprócz zadań rolniczych ważną gałęzią ich działalności były kasy typu REIFEISENOWSKIEGO, udzielające taniego kredytu włościanom, w większości biednym. Zasoby pieniężne tych kas i kółek (z opłat 50 fen. na rok!) były bardzo szczupłe. Niezmordowany i wielce zasłużony w zbieraniu ich proboszcz Kahl chodził po jarmarkach, przypatrywał się sprzedażom i od każdej odciągał na ten cel jakąś cząstkę. Daremnie chłopi błagali go, ażeby im nie zabierał. „Co dasz dziś — odpowiadał — to jutro możesz wziąć z kasy". Prezesem zarządu kółek był Niemiec, baron Huene, człowiek rozumny, sprawiedliwy i wolny od fanatyzmu germanizacyjnego, to też jego ustąpienie było dotkliwą dla nich stratą.

Bogactwo energii, szlachetnych uczuć i cnót obywatelskich, które się objawiło u patriotów śląskich, wskazuje, jakie skarby umysłowe i moralne kryją się w masie chłopskiej, przeniknięte oświatą i do jakiej wysokości wyrastają w niej jednostki szczególnie uzdolnione. Tu może bardziej niż w innych dzielnicach Polski usunięte zostały wątpliwości i stwierdzona wiara w żywotne i twórcze siły naszego ludu. Jeżeli szlachta uważała się za jego matkę i opiekunkę, bez której on by zmarniał i zginął, to śląski, bezwzględny

sierota, od sześciu wieków pozbawiony tej matki i wystawiony na srogość macochy niemieckiej, dowiódł błędności tego zarozumiałego i samolubnego mniemania.

Jeden z najmniejszych odłamów ludu polskiego, Mazurzy pruscy, stał się żywą pamiątką największego błędu politycznego, jaki popełnili monarchowie polscy. Znana już starożytna kraina bursztynowa, zawarta między Bałtykiem, Wisłą, Niemnem i obszarem Mazowsza, była pierwotnie zamieszkana przez Słowian, których pokonali i wytępili Prusowie, napastnicze plemię celtyckie, śród którego zginął śmiercią męczeńską misjonarz chrześcijański św. Wojciech. Królowie polscy częścią dla odparcia i zabezpieczenia się od napadów, częścią ulegając żądaniom papieży, pobudzających ich do nawracania opornych pogan, podejmowali zbrojne wyprawy przeciwko temu niespokojnemu i dokuczliwemu sąsiadowi, które jednak nie doprowadziły do ostatecznego zawładnięcia nim. Dopiero sprowadzeni przez ks. Konrada Mazowieckiego (1228 r.) Krzyżacy rozpoczęli i przeprowadzili bezlitośnie zagładę Prusów. Wielkie rozszerzenie się ludności połączone z przynętą, ściągnęło przypływ kolonistów z sąsiedniego Mazowsza. Rozgromienie zakonu krzyżackiego przez Polskę sprowadziło jego upadek i sekularyzację: opanowana przez Krzyżaków ziemia stała się państewkiem świeckim, a ostatni ich mistrz Albrecht jej księciem, wasalem króla polskiego, któremu zaprzysiągł uroczyście w Krakowie (1525 r.) składanie hołdu lennego. Był to straszny błąd Zygmunta I. Zamiast wcielić Prusy Książęce do Polski, oddał je w wątłą zależność dynastii niemieckiej, która tę słabą nić bez trudu przecięła, ofiarowane jej lenno usamowolniła, następnie energią, podstępem i szczęśliwymi wojnami swą zdobycz daleko rozszerzyła i stworzyła silne państwo, które dokonało rozbioru Polski, pokonało Austrię i Francję, a po zjednoczeniu Niemiec stało się najpotężniejszym mocarstwem w świecie. Runęło ono dopiero w ostatniej wojnie, chociaż nie przestało być organizmem politycznym wielkiej mocy i najgroźniejszym wrogiem Polski.

Mazurzy w liczbie około 400.000 zajęli całkowicie lub częściowo 12 powiatów południowych w tzw. Prusach Wschodnich. Jest to kraj licznych (tysiąca) i obszernych jezior z ziemią ubogą, rodzącą skąpo, przeważnie żyto, owies i ziemniaki, z ludnością trudniącą się głównie hodowlą bydła i rybołówstwem. Królowie pruscy wcześnie i usilnie zajęli się germanizacją Mazurów. Przede wszystkim zaszczepili im protestantyzm, następnie za pomocą czasopism polskich drukowanych czcionkami gotyckimi (Pruski Przyjaciel Ludu, Gazeta Mazurska) oraz szkół i kazalnic ewangelickich przetworzyli ich dusze tak gruntownie, że ten lud polski przed wybuchem wojny czuł się już niemieckim. W połowie XIX w. starał się oskrobać te dusze z kory obcej i wydobyć z nich rdzeń rodzin-

ny pastor Gizewiusz przez odezwy i artykuły w piśmie Przyjaciel Ludu Ełecki, wczesna jednak śmierć nie pozwoliła mu głębiej sięgnąć tym wpływem. Pod koniec zeszłego wieku wysokiej miary działacz polityczny z Królestwa, A. Osuchowski podjął się i dość szczęśliwie spełnił trudne zadanie odniemczenia Mazurów, dla których założył w Ełku Gazetę Ludową. Powstały zrzeszenia społeczne, czasopisma Gazeta Olsztyńska, Mazurski Przyjaciel Ludu oraz (w Warszawie wydawana) Gazeta Mazurska, ten ruch jednak mocniej ożywił się dopiero po wojnie. Gdy zwycięskie w niej mocarstwa postanowiły rozstrzygnąć sprawę przynależności Prus Wschodnich, przeprowadzony plebiscyt oświadczył się większością głosów za przyłączeniem ich do Prus. Dziś zabiegi Polski w celu odzyskania tej gałęzi ludu polskiego zmagają się w Pojezierzu Mazurskim z silniejszą od nich propagandą germanizacyjną, a rezultat tej walki pozostaje wątpliwy.

Niemcy urządzają swój aparat badawczy dla spisów ludności z nadzwyczajną umiejętnością i pomysłowością, ale stosują go tendencyjnie i fałszują jego wyniki bezczelnie. Jak tego dowiódł drobiazgową krytyką obliczeń znakomity nasz geograf E. Romer, spisy ostatnie (1905, 1910) sztucznym kategoryzowaniem narodowości zmniejszyły znacznie liczbę Polaków we wschodnich dzielnicach Prus. Z Mazurów i Kaszubów utworzono osobne grupy, a nadto utopiono pewną ilość Polaków w „dwujęzycznych" i „innych", nieoznaczonych. Na końcu długich i wyczerpujących studiów analitycznych i syntetycznych — mówi ten badacz — doszliśmy do wniosku, że wszystkie oficjalne publikacje statystyczne, odnoszące się do stosunków narodowościowych wschodnich rejencji Prus, są obarczone na każdym kroku mniej lub więcej zamaskowanymi tendencjami politycznymi... Niemiecka literatura naukowa mimo zupełnego i wszechstronnego niemal rozpoznania tych błędów, tkwiących w oficjalnym spisie ludności, nie usiłowała tych błędów usunąć, a przeciwnie w syntezach kartograficznych w całości je przejęła i dodała nowe a tak lekkomyślnie, że najgłośniejsze w tym kierunku publikacje okazały się pozbawione wszelkich cech naukowej pracy. Wobec tego wszelkie cyfry urzędowe, określające ilość Polaków, zamieszkałych na tym obszarze, należy uważać za wątpliwe i co najwyżej za przybliżone.

Jeszcze mniejszym członkiem polskiego ludu są Kaszubi, również zatraceni przez krótkowzroczną politykę naszych królów i przez dalekowzroczną pruskich do spółki ze sprzymierzonym Gdańskiem. Dzielili oni los całego Pomorza, zdobytego przez Piastów, a opuszczonego przez Jagiellonów. Zajmują obecnie pobrzeżny pas nadmorski, 75 kilometrów długi od Gdańska do ujścia Piaśnicy, według rozmaitych obliczeń 17- do 28.000 głów, gdy ogólna ilość tego plemienia w Prusach szacowana jest na 100 do

135.000. Przeważnie skupieni są we wsiach włościańskich (zaledwie kilka folwarcznych), trudnią się rolnictwem i rybołówstwem. Posiadają ziemię w gospodarstwach małych, średnich i „gburskich", dochodzących do 400 morgów. Podczas gdy niektórzy badacze (autor Słownika S. Romułt i Baudouin de Courtenay) uważają go za odrębny, inni (A. Bruekner i A. Majkowski) za narzecze polskie. W każdym razie ich mowa jest bardzo zbliżona do naszej. Wprowadzili ją do literatury swoimi utworami F. Cenowa, H. Derdowski i A. Majkowski. Obecnie Kaszubi, wszedłszy w obręb Państwa Polskiego, niewątpliwie zrosną się z nim kulturalnie.

(„Historia chłopów polskich")

WŁADYSŁAW ORKAN

SZCZĘŚLIWA GMINA

Widnymi nocami siadywał Rakoczy na progu swojej koleby i kładąc deskę białą na kolana rysował na niej przy świetle księżyca plan gminy, jaką w długich snach myślenia wyśnił. Do rysowania używał lubryki, czerwonego kamyka o miękkim dotyku, jakiego się zazwyczaj używa do cechowania drzew. Nie brał od razu na uwagę całych rozgałęzionych w dole roztok, ale jeno jedną gminę, rodzinną swoją. Przysłop. Tej się przyjrzał dokładnie z wysokiej polany i najpierw pooznaczał granice linią. Potem uważał dobrze w myślach, które grunta i w jakiej stronie bardziej urodzajne, które mniej żyzne i uprawne, a które nieużytki, i części te wyraźnie naznaczył na mapie. Było ich sporo, lecz mniej niż dawnych osiedli.

Podzieliwszy tak gminę począł bez porządku znaczyć, co mu się tylko nasunęło w myśli rozognionej. Nie zatrzymywał się długo nad jednym planem odkładając szczegółowe przemyślenie na dalsze wieczory. Chciał bowiem jak najprędzej objąć całokształt życia gromadzkiego w granicach zakreślonych przez oświetle myśli. Przeto jeno znakami utrwalał w pamięci swojej mgławice planów i pomysłów i gorączkowo dalej biegł wśród mroku nieznanego zdążając pilnie do celu, który przed wzrokiem jego duszy błędnym światełkiem migotał.

W sercu się palił, gorzał cały, to rozpaczą wysiłku, to trwogą, to nadzieją szczęśliwości, jaką przeczuwał na ziemi. Ale nie dawał się opanować żadnemu uczuciu, chciał naprzód rozumem wszystko ułożyć i zważyć, aby świat nowy powstał na opoce, którą nie łatwo skruszyć.

Rozłożywszy grunta gminne na części podług urodzaju począł dalej przemyśliwać nad sposobami ich uprawy.

— Przypuśćmy, to tak, jakżeby jeden miał te wszystkie grunta. Abo jeszcze lepiej, jakżeby jeden ród posiadał je wspólnie. Własność niczyja i wszystkich. Wtedy łatwo zauważyć, jak będzie z uprawą. Tam, gdzie pole korzystniejsze, sadzi się ziemniaki, sieje się żyto, jęczmień, orkisz, wykę. koniczynę, i łoży się w uprawę, bo ziema to wróci. Tam zaś, gdzie rola strasznie skąpa, wysiewa się owies. A resztę, co się nie da zorać z powodu pustki, niedostępu, albo innych przyczyn, obraca się na pastwisko lub na zalesienie. Gmina od razu przez to zmienia wygląd i jest jak jedno wielkie gospodarstwo, na którym łany, jak jeziora, kołyszą się zbożem, albo zielenieją płaty szerokie i długie. Miedze się poobalają, granice ponikną, przez to się pola przyczyni o spore stajanie.

Zamrużył oczy w rozkosznym dumaniu i widział obraz rzeczywisty przyszłej swojej wsi. Uśmiechał się do niej tęskno, podobnie, jak na obczyźnie uśmiecha się człowiek we śnie widokom swych pól. Obejrzawszy obszar cały wszerz i wzdłuż rozsnuwał dalej.

— Grunta obrabiają wspólnie i zgromadzają plony wszelkie do wspólnych śpichrzów gminnych. Skoro już wszystko zgromadzą, wtedy się dzielą zebranymi owocami prac. Każdy otrzymuje tyle ze wszystkich darów ziemi, żeby mógł ślebodnie przez cały rok, bo aż do przyszłych zbiórek, rodzinę swoją wyżywić. Gdyby zabrakło zboża, to jest gminna kasa, jest kapitał gotowy z rozmaitych wpływów. A gdy zaś padnie lato piękne, zboże się udarzy, i po bogatym podziale jeszcze zbędzie plonów, to się je chowa w śpichrzach na czas nieurodzaju. I nie ma obaw przed złymi rokami, jakie trapiły naród głodem, i dosiela trapią.

Odetchnął. Widziało mu się, że to już tak wiele, iż o niczym więcej nawet myśleć nie potrzeba. Radość mroczyła jego głowę i przesłaniała wyśnionym widokiem wszystko, co nie z tego świata. Już się tak rozmarzył w sobie, że na nic dokoła uwagą nie baczył. Wszystkie nadzieje, myśli i pragnienia zestrzelił w jeden obraz, malowany sercem, w to światło, które zapaliło jego wnętrzne siły i rozprószyło czatujący mrok przed jego duszą. Ledwie mu zamajaczył ten świat mgławicowy, a już go oczarował niewoląc ku sobie. Zarysowały mu się z daleka granice, i już wśród nich przeczuciem widział łąkę jasną, na którą tylko wejść i zrywać kwiaty szczęśliwości. Cudował się sam sobie, że wcześniej na to nie przyszedł.

— Wybierze się wielką radę z dwunastu najmądrzejszych, a ci powprowadzają w życie kolejno wszystek plan.

A potem rada mądrych, co parę lat zmieniana, ma czuwać nad robotami, aby jeden nie ponosił ciężaru więcej, niż drugi. I przy podziale plonów musi być dozór uczciwy, aby się krzywda nikomu nie działa.

To pomyślawszy pewny był, że już wszystko gotowe, ino zacząć.

Chwilami przychodziło mu na myśl porzucić ścinanie, iść i apostołować za swoim zamysłem. Ale się wnet rozumem opierał gorączce postanawiając dociąć już do końca. Skoro wyrzekł słowo ciężkie, choć i w konieczności, to musi dotrwać i pokazać, że nie jest słomianym chłopem, ale opartym na wszystko, na wszelki wiew. To i ludziom się spodoba, i chętniej mu dadzą posłuch, wiedząc, że się nie uboi potwierdzenia słów działaniem do ostatka sił.

Przy tym miał w sercu jakiś lęk kryjomy przed nagłością powstania planu. Zdumiony był też równie, czemu to tak łatwo przyszło i stanęło w prostocie jasnej przed oczyma. Ani głowy nie natężał, ani znikąd nie słyszał nic o czym podobnym.

— A może to już jest na świecie, albo kiedyś było, a pokazało się niedobrym i zaniechali... kto wie!

Jak człowiek w najgorętsze pragnienie swoje uderzony, zasmucił się i zatrwożył niepokojem serca. Ale to jeno chwilę trwało. Wnet się ostał i począł bojaźliwie osłaniać świat swój odkryty przed zalatującymi myślami z tej ziemi, które każdy zamysł nowy zwykły obejrzeć, wyśmiać lub powiać nań zarazą, że się jeszcze w zaczątku pocznie próchnem świecić i, nim się słońcu ukaże, już po nim, już śladu nie ma z jego chwilotrwania.

Wiedział to dobrze Rakoczy, bo nieraz, gdy się zamyślił o tworzeniu czegoś, już czyhały te wrogi rojem, ogłuszającym każdy szelest myśli dopiero poczynanej. A gdy zamierzył coś wykonać nie dbając na trwogę przez nie rzucaną na serce, wtedy stawały przed nim postaciami o najdziwaczniejszych kształtach, przybierały wygląd ludzi znajomych i bliskich, pokazywały twarze drwiące, wargi szyderstwem skrzywione, lub brały się za boki dłońmi i aż włosami ziemi dotykały, nachylając się w śmiechu. I to go nieraz wracało. Ale też i nie mniejszą zamiarom jego przeszkodą było rozważanie w myślach, podobne usypianiu sił, by nie wstawały; była to jakby zabawka, przecie nużąca ducha bardziej niż sam czyn z zamiarów owych poczęty; brał je w myśli na wagę i ze wszystkim, co myśl nadniosła, próbował; oczywiście przeważało w końcu wszystko insze, bo zamiar każdy nie

miał ciężkości nijakiej w porównaniu z rzeczami bytującymi na ziemi.

Teraz to wszystko nadlatujące zarazą Rakoczy łatwo mógł rozpłoszyć, i plan jego przeważył w myślach skałą, bo z ziemi urodził się i na niej był oparty. I jak ziemia rzeczywista, tak rzeczywisty jego oczom wydawał się ten obraz objawionej gminy.

— Kto idzie naprzód, musi dojść, gdzie myślą zamierzył, choćby sto strachów zastąpiło na rozstajach drogę.

I tak pewny był dojścia swego do tej świtającej w dali jasnej polany, że ani się nie zaturbował, jak iść, którędy i przez co. Wszystką uwagę skupił na widnym krajobrazie. Ścinając drzewa, jak przedtem czynił to machinalnie i nie patrzał, wiele uboczy ubywa, a cały myślą stał w przyszłości bliskiej, jakby w niej żył i mieszkał ciałem. —

(„W Rostokach")

* * *

Z „PAMIĘTNIKÓW CHŁOPÓW"

Światło dzienne ujrzałem pewnego sierpniowego popołudnia w nędznej drewnianej chałupie krytej słomą, o glinianej podłodze i zadymionych ścianach, gdzie słoneczne promienie wpadały do izby szczupłym otworem wydłubanym w ścianie z okrąglaków; a sprzętem jej było jedno łóżko, długa ława na kulawych nogach i „serwantka" z powybijanymi szybami. Kiedy mogłem już się poruszać o własnych siłach, to znaczy pełzać na czworakach po wyboistej podłodze pełnej kurzu i brudu, nie było przy mnie już tej, która w pierwszych dniach mego dzieciństwa usypiała mnie do snu pełnym uczucia głosem. Na próżno usta moje kwiliły ma-ma, ma-maaa! Ukazywała się wtedy nad moją kołyską matka, lecz innych dzieci, pod której opieką zostawiony zostałem na całe lato, podczas gdy moja matka była hen daleko, w kraju innym zarabiając krwawym trudem przy uprawie i zbiorach plonów ziemi na sól i chleb, gdyż ziemia ojców dziwnie jakoś skąpa nie chciała dać pożywienia głodnym swym dzieciom. Ojca również moje dziecięce oczy nie oglądały. Budował on za nędzną strawę potęgę krzyżackiego plemienia, dźwigając szyny przy budowie dworców niemieckich, ładując ciężary w dokach Hamburga lub kosząc zboże w okolicach Hale albo Drezna.

Późną jesienią, po grudzie już powracali rodzice z tobołami na plecach, by po dwu miesiącach zimowego letargu,

wśród wiosennych śniegów i roztoków skradać się znów przez krzaki i wezbrane strumienie do swej przybranej ojczyzny pracy i chleba. I po latach takiego trudu, po latach tułaczki, niewolniczej katorgi i płaszczenia się u stóp pruskiego obszarnika i jego sługusów, rodzice moi zdobyli tyle, że mogli nabyć dwie morgi ziemi i starą zapadającą się w ziemię chałupę.

Mając lat osiem zacząłem chodzić do szkoły znajdującej się w sąsiedniej wsi oddalonej o dwa km drogi. W lecie przebiegałem tę przestrzeń boso i było mi tak dobrze, lekko i zwinnie. W zimie zaś mróz szczypał w uszy, śnieg rzucał tumanami pyłu w oczy, wiatr gryzł po twarzy i gołych rękach. A ja szedłem w trepach z „deką" zawieszoną na plecach i zimnym kartoflanym plackiem w kieszeni, co chwila zanurzając się po kolana w sypkich zaspach śniegu. W szkole na drugiej godzinie śnieg w trepach rozpuścił się i lodowate zimno zaczęło przebiegać organizm i spazmatyczny kaszel nadwerężał już płuca.

W dziewiątym roku mego życia wybuchła wojna światowa. W mej dziecinnej świadomości nie mieściło się jeszcze pojęcie wojny jako ogromu zła i krzywdy ludzkiej, toteż widząc pożegnanie ojca idącego na front, nie potrafiłem sobie uświadomić, że ten bliski mi człowiek idzie na zatracenie i pewną śmierć w tej strasznej rzezi narodów. W niedługi czas potem zaczęły ciągnąć przez naszą wieś ogromne liczby wojsk, armat, koni i wszelakiego rynsztunku.

W czasie wojny cierpieliśmy wielki niedostatek. Matka musiała chodzić do odległego lasu po drzewo i dźwigać na swych barkach wiązki gałęzi, choiny, lub worki szyszek, by móc przy tym ugotować nędzną strawę. Kiedy matka nie szła po drzewo, to zabierała mnie ze sobą do lasu na bedłki i jagody, gdyż głód coraz bardziej zaglądał nam w oczy, bo one stały się przysmakiem, a pieczone w popiele jadłem ze szczególnym nabożeństwem i łzami w oczach. A kiedy matka w trosce o czarną niewiadomą jutrzejszej doli wylewała łzy całymi dniami, ja nie śmiałem jej pytać o to, tylko wznosiłem oczy do góry i, ufny sile rzucającej pioruny, modliłem się z naiwnością dziecka, by wróciła mi ojca, a matce ukróciła cierpień. Lecz daremnie, niewdzięczny stwórca zła, bólu i łez nie wrócił mi ojca. Minęła wojna. Z pobojowiska powrócili żołnierze, lecz wśród nich brakło wielu, synów i ojców, a do nich należał i mój ojciec, który zginął na martwym polu śmierci, uduszony przez gazy niemieckie. Swymi kościstymi dłońmi chłopa polskiego budował kiedyś ich bogactwo; rzucał

się ostatkami sił, by przy akordowej pracy nie być ostatnim, dzwonił szklankami piwa z niemieckim kamratem, by zginąć później z ich rąk w barbarzyńskich zmaganiach...

Minęła wojna. Minęły dni płaczu, dni smutku i przygnębienia. Ludzie powoli zaczęli się otrząsać z ruin, gruzów i powstawać, jak duchy z uśpienia do pracy i nowego twórczego wysiłku.

Ziemia nasza wydawała bardzo marne plony, tak że nawet wyżywić się nie było można. Pamiętam jeszcze dziś, gdy to wspomnę, łzy mi w oczach świecą, jak jednego razu będąc u bogatego chłopa zostałem poczęstowany kaszą jaglaną z mlekiem, której smak pamiętam do dziś i zachowam w pamięci do końca życia, jako najlepszej potrawy pod słońcem. Tak wielka jest potęga głodu.

Kiedy matka nie mogła uporać się z niedostatkiem, musiała oddać mnie na służbę, a w domu pozostała tylko młodsza siostra. Poszedłem więc z węzełkiem pod pachą sprzedać pracę swych drobnych rąk za trochę okruchów chleba. Lata służby były dla mnie najcięższą szkołą życia.

W lecie, o wschodzie słońca pędziłem bydło na pastwisko i bez względu na pogodę boso i półnago. Kiedy już słońce wzbiło się wysoko ku południowej stronie, spędzałem bydło do domu, ewentualnie samo uciekało. Wtedy gospodyni pędziła mnie w pole do pielenia chwastów w prosie, lnie lub w kartoflach. W południe, po oprzątnięciu świń, umyciu naczyń kuchennych, popędziłem znów bydło. I tak było dzień po dniu, tydzień po tygodniu, bez odpoczynku, bez jednej wolnej chwili przez całe dwa lata służby. W drugim roku służby — t. j. w szesnastym roku życia, zaczęli mnie zaprzęgać do coraz cięższych robót. Począwszy od wiosny musiałem sadzić ziemniaki wraz z innymi dorosłymi ludźmi. Nakładałem na wóz gnój i wywoziłem w pole. Później zacząłem już orać. Kiedy przyszły żniwa, zmuszano mnie do zbierania zboża za kosiarzem. Moje dziecinne siły były za słabe. Delikatne palce pękały od brudu, soków zboża, ostów i szorstkiej słomy. Paznokcie pozdzierane pozachodziły krwią i bolały okrutnie. Od snopów podarły się na kolanach porcięta i bose pokaleczone nogi sloma aż parzyła za każdym dotknięciem. Do tego od podnoszenia ciężkich snopów kark chciał pęknąć, głowa od natężenia bolała śmiertelnie, oczy wyłaziły na wierzch pod nadmiarem ciśnienia krwi. A żar słoneczny prażył bezustannie, wysuszając z ust ostatnią kroplę ślin, tak, że język kołczał w gardle i jakaś niewypowiedziana gorączka wydobywała się z wnętrza, szumiała w głowie i mąciła świadomość. Wyczerpane

już siły nie pozwalały dźwignąć snopka, trzeba było przystanąć, odpocząć, odetchnąć... Obejrzał się na to gospodarz i grymaśny skurcz przebiegł mu po twarzy. Poczem obejrzał się po raz drugi i natychmiast huknęło w powietrzu przeraźliwie. A nuże! rus ze sie!

Po żniwach przyszła jesień i sprzęt ziemniaków. W redlinach stanęło kilkanaście kobiet z kopaczkami w garściach. W gronie ich starych, silnych byłem i ja młody i słaby, zmuszony jednak stanąć do tego wyścigu, bo nie mogłem oglądać się na dom swój, na pomoc matki, gdyż tam była pustka, nędza i głód, a matka w taki sam sposób pracowała na utrzymanie. A więc kiedy Andrzej (mój gospodarz) znakiem krzyża skreślonym na redlinie zaczął kopanie, reszta kobiet zrobiła to samo. Na kilkunastu zaraz krokach zostałem w tyle, gdyż nie stało mi sił do nadążenia za innymi. Zmartwiony tym niezmiernie, z głową zwieszoną w ziemię, ledwie powłócząc nogami posuwałem się naprzód żółwim krokiem. Upłynęło kilka takich katorżniczych dni, lecz były one niczym wobec późniejszych słot i deszczów jesiennych. Od zachodu dął przenikliwy, silny wiatr, zacinający falami dżdżu, które za każdym podmuchem przeciągały człowieka do kości, potrząsały febrycznym dreszczem wszystkimi członkami, aż kołatały zęby i drżały wargi. Na takie zimnisko jedno było lekarstwo, pracować szybko, szybko, bez tchu, pamięci i rozumu, by przezwyciężyć wiatr i zwalczyć głód. Ale na wieczór ludzie schodzący z pola nie byli podobni do zwierząt nawet. Kobiety powijane różnymi łachami, mokre, uszargane błotem, brudne jak ziemia ręce, twarz zabłocona, bose nogi aż czarne od zimna i błota.

— — — — — — — — — — — —

Tej zimy nie byłem w służbie. Miałem skończone lat szesnaście. Długimi wieczorami ślęczałem nad książkami i uczyłem się. Moją ambicją było wiedzieć i umieć więcej od innych. Chciałem pokazać bogatszym od siebie rówieśnikom, że ja jestem od nich biedniejszy, lecz za to oni głupsi. Takie rozumowanie kosztowało mnie bardzo wiele. Zanim zdobyłem książkę, musiałem ponieść połowę cierpienia, a później?... Dotkliwe zimno w chałupie, gasnący kaganek, a nawet i głód i ileż razy? — odpędzał mnie od niej. Ja byłem ślepy na wszystko, z niezłomnym postanowieniem wżerałem się w zadrukowane kartki i czerpałem z nich wiedzę, światło i radość życia, która z biegiem czasu stworzyła cierpienie, gdyż tym bardziej cierpię, im lepiej wiem, dlaczego cierpię.

— — — — — — — — — — — —

Któregoś marca znalazłem się „w centrali" w Rozenbergu. Baraki stacyjne pełne były różnorakiego tłumu, rozkrzyczanego wszelakimi głosy. Przy wejściu do nich uderzał świeżo przybyłego •par, zaduch i kłęby dymu unoszącego się z przetłoczonych sal, gdzie zmęczeni ludzie porozkładani byli pokotem po ziemi, ławkach i stołach. Panował tam ciągły ruch i nawoływania odjeżdżających już na miejsce przeznaczenia i hałas świeżo przybyłych. Tam rozkładał każdy swe tłomoczki i wydobywał nędzne pożywienie: jeden czarny kawał chleba, inny sera, ów masła. Chłopi kręcili z przedziwnym sprytem machorę i filtrowali przez usta kłęby dymu, który zapełniał salę i uniemożliwiał oddychanie. Kobiety zaś i młode dziewczęta okryte w zapaski, z chustkami pod brodę zawiązanymi różnych wielkości i kolorów, patrzyły smutnie przed siebie, szukając w wyobraźni czegoś nieznanego i odległego. Chłopi i parobcy, więcej odważniejsi od kobiet mieli mniej strapione miny, a niektórzy nawet z nich, ubrani w „masiustrowe" spodnie i „westki" z dewizkami, powtarzali aż do obrzydzenia: ja! ja! i czuli się jak na własnym podwórzu.

Po trzech dopiero dniach gnicia w brudzie zgniłych baraków załadowano nas na pociąg idący „na Berlin" i za chwilę zgrzytnęły o szyny koła obciążonej lokomotywy, która miała nas powieźć dalej. Poza sobą zostawiliśmy cuchnące baraki, w których pozostała jeszcze moc tych obieżyświatów, którzy nie odsiedzieli jeszcze kolejki, a co parę godzin pociąg przychodzący od polskiej granicy wyrzucał nowe i nowe kompanie trzęsących łachmanami nędzarzy, idących na nieznaną poniewierkę, wśród obcego, wrogiego im plemienia szukać zapłaty za sprzedawany trud, by móc nieść pomoc tym, co pozostali w krainie zastoju i głodu.

Po zatransportowaniu nas na miejsce przeznaczenia (folwark), zostaliśmy z pomocą jednego z tamtejszych robotników rozlokowani po „ślubach", mężczyźni osobno i kobiety osobno.

Rozpoczęły się ciężkie dni akordowej pracy, dni katorgi i nadludzkiego nieraz wysiłku, pożerającego na zawsze siły i zdrowie, niesione w ofierze molochowi bogactwa za kęs chleba i trochę marnej zupy. Jedni z nas pracowali w polu wołami, inni ręcznie. Nad każdą grupą czuwał pilnym okiem włodarz, zwany inaczej „Wojtkiem". Włodarz z kijem w garści poganiał mniej śpieszących się, garbując często skóry młodszym i bezsilnym, dokuczał tym, do których był uprzedzony, dając im najtrudniejszą pracę; oszukiwał na wszystkim, i na deputacie, i na wypłacie. On był panem i władcą. Przed nim

drżeli wszyscy. On mógł oskarżyć przed „panem", spowodować obniżenie płacy, a nawet wydalenie do kraju. Pan wierzył tylko jemu, on miał głos, bo on był Panu oddany duszą i ciałem, pomagając mu do wyciśnięcia z robotników wszystkich żywotnych soków.

— — — — — — — — — — — —

Właściwe piekło życia ujrzałem dopiero, kiedy urodziło mi się dziecko. Kołyskę dla niego pożyczyłem od dobrych ludzi. Ochrzcić nie kazałem, bo nie miałem 10 zł opłaty. A skąd miałem mieć, jeśli na Nowy Rok nie miałem już nic w stodole, a w komorze zaledwie kilkadziesiąt kg mąki. Jakże ponuro wyglądała nieraz nasza niska izba, kiedy o wieczornym zmroku dziecina zaczęła kwilić z głodu, a matka nie mogła jej nasycić zwiędłą piersią, wiatr wył przeraźliwie za oknami i przeszywał dreszczem grozy, aż włosy jeżyły się na głowie, że tylko zabrać się i uciec z tej ponurej jamy. Jadaliśmy różnie. Rano „dziad", zalewajka, zupa ziemniaczana, ziemniaki rzadkie, na obiad: ziemniaki suche z barszczem, kraszonym roztrzepanym jajkiem lub bedłkami albo kasza jęczmienna z suszonymi gruszkami, na kolację inna odmiana ziemniaków i tak w kółko. Rozumie się, że w takich warunkach dziecko chować się nie mogło i umarło, nie mogąc stać się cierpiętnikiem przyszłości.

Myślałby może kto, że w opisanych warunkach żyją i wychowują się ludzie na wsi tylko w indywidualnych wypadkach. Otóż nic naiwniejszego. Nawet kilkomorgowy (od pięciu do dziesięciu morgów) gospodarz, posiadający kilkoro dzieci, wychowuje je w ten sposób, że po dorośnięciu ich do wieku 11—12 lat wydaje je kolejno na służbę do pasienia krów, a kiedy są starsze, do koni i taki żywot pędzą aż do osiągnięcia samodzielności. Bywają jeszcze w naszej wiosce takie domy, że pięć osób śpi na jednym łóżku, tak że nie wiadomo, gdzie nogi a gdzie głowy. Jedynym pożywieniem mieszkańców naszej wsi jest kapusta i ziemniaki, a w niektórych domach jadają ziemniaki z wodą, oszczędzając nawet na porcji soli. W wielu domach pożywienie bywa spożywane dwa razy dziennie — późne śniadanie, a obiad razem z kolacją — a kiedy dzieci zawołają jeść, to matka upiecze im ziemniaków pod blachą w popiele albo odgrzeje im ziemniaków ze śniadania. Dzieje się to przeważnie w zimie, gdy dzień jest mniejszy i głód można łatwiej przespać. Niektóre rodziny w zimie przychodzą do swych mieszkań tylko na noc, ponieważ w swojej chałupie usiedzieć nie można z zimna, drzewa

nie ma za co kupić, gdyż nie zarabia się nic i nigdzie. Powszechnie głosi się, że „cukier krzepi", lecz na wsi ludzie go nie znają, np. w naszej wiosce na 600 mieszkańców sklep sprzedaje 3 kg cukru tygodniowo — tylko choremu dziecku kupi go ktoś za 5 groszy. Proszę sobie wyobrazić, że u nas ludzie kupują zapałki na sztuki (za grosz cztery) a papierosy cienkie chłopi przerywają na trzy kawałki. Na przednówku, kiedy już twardnieje żyto, są u nas modne tzw. życiaki. Jest to rodzaj kaszy sporządzonej z poprzetrącanych w żarnach ziarn żyta, którą się praży w garnku i później biedota ją zjada z maślanką lub mlekiem. Służy ona przeważnie do pracy żniwowej, gdyż wtedy szczególnie sił potrzeba, a naród osłabiony niezmiernie, tak że kosiarze podczas minionych żniw mdleli przy pracy we dworze. Bywało, że taki idąc rano do pracy najadł się śmierdzących zieleniznę młodych ziemniaków i poszedł kosić. Z początku miarowo i dosyć szeroko wodził kosą po ziemi i ścinał pochylone kłosy zboża. Lecz w miarę wznoszenia się słońca nad powierzchnią ziemi słabł, topniał w pocie, pokosy ciął coraz węższe, coraz wolniej kosę prowadził, aż wreszcie ustał pod nadmiarem wysiłku, kosę oparł o ziemię, nogi, nie mogące udźwignąć ciężaru cielska, zgięły się mu w kolanach, w oczach pociemniało, tajemnicze dzwony zadźwięczały w uszach, po czym zatoczył się i upadł na świeżo ścięte kolce ścierniska...

— — — — — — — — — — — —

Stokroć gorszym cierpieniem od dzisiejszej biedy jest troska o nieznaną przyszłość jutrzejszych dni. Co dzień rano i wieczorem staje mi w oczach widmo jeszcze gorszego niedostatku, a może śmierci głodowej na tej samej ziemi, która zdołała mnie wychować, lecz nie pozwoli mi żyć. Rozpacz szarpie mi serce, że muszę konać z głodu, mając chleba pełno wokoło. Obłęd myśli kłębi mi umysł, że muszę być bezczynny, nie mając możności tworzenia lepszej przyszłości, gdyż skute mam ręce. My, nędzarni chłopi spod słomianych strzech, wyciągamy do Was ręce i błagamy, przybądźcie nam z pomocą, wyrwijcie nas z niedoli, gdyż my również chcemy żyć, pracować i korzystać z owoców pracy! My nie chcemy ziemi, my nie chcemy bogactw, my chcemy pracy i sprawiedliwego podziału owoców jej pomiędzy wszystkich pracujących, dziś wydziedziczonych, głodnych i poniewieranych. —

(„Pamiętniki chłopów"
Pamiętnik Nr 8)

EMIGRACJA

Dawniej w okolicy mojej, gdy na roboty kto wyjeżdżał, to najdalej do Pesztu. Jechał zwyczajnie z wiosną, pracował tam przez lato w cegielni, a ku zimie z zarobionymi „dudkami" powracał. Zarobki w Peszcie niezłe były, wielu się dosyć wspomogło, przy tym nic stamtąd szkodliwego ni z obyczaju, ni z nadpsutej gwary do wsi nie przynosili. Jakiś odsetek niewielki tych, co nie mieli do czego, ani poco wracać, pozostawał tam, godząc się na dobrze płatne roboty do młynów.

Z czasem Peszt się urwał. Już też bowiem ludzie ze wsi zwiedzieli się o Ameryce i ten-ów śmielszy, a mogący wyłożyć na „sifkarte" puszczał się na los szczęścia za ono morze dalekie — przy tym jęli się po wsiach uwijać różni agenci pokątni, namawiający ludzi do robót rolnych do Prus i obiecujący im świetne warunki płacy. Wabieni obietnicami do robót, które łatwo mogli, jako z rolą obeznani, pojąć, mając przy tym wszelkie ułatwienia w drodze i kredytowany, jakoby darmowy przejazd, głosili się masowo; całe kompanie ze wsi wybierały się z wiosną „na Saksy". Nic to, że długo musieli oną drogę darmową odrabiać, że ich płacono i żywiono marnie, że ich kupami wpędzano do chlewnych baraków, że ich traktowano gorzej jak robocze bydło, pęd ku wiośnie „do Prus" nic ustawał. Zwłaszcza młodzież nieletnia, rada zawdy uchylić się od ciężkiej ojcowskiej ręki i przykaźnych matczynych oczu, zasmakowała sobie w tych sezonach pruskich, gdzie jej, poza czasem robót, nikt nie kontrolował. Wracali też do domów rozpustą chorzy, zepsuci, a dziewczęta nierzadko z brzemieniem.

Trwała ta epidemia pruska lat kilkanaście. Była to prawdziwa klęska dla wsi naszej, tak z punktu moralnego jak zdrowotnego, a zarazem haniebna wysługa wrogowi. Zarobione też tą stratą fenigi nic nie sprawiły we wsi — wsiąkły w błoto, i diabeł z nich miał korzyść.

Inaczej rzecz się miała z wychodźtwem do Ameryki. Zachętą główną do wyjazdu, prócz rozsyłanych reklam interesowanych linii okrętowych, były listy pierwszych ze wsi emigrantów, donoszące o wysokości zarobków, a więcej jeszcze przysłane rodzinom dolary lub przywożone przez powracających. Był to dla umysłów, wzwyczajonych do lichej pracy w miejscu, zarobek — marzenie. To też kto miał jeno przed kłopotem myśli jakie zadanie pieniężne, którego by całożyciową pracą w miejscu nie podołał ziścić, jął przemyśliwać nocami o wyjeździe „za morze". Byli to więc w pierwszym rzędzie ci z młodych gazdów, którzy przejęli świeżo gazdo-

wanie ze skrzepłych dłoni ojców, a nie mieli skąd wziąć pieniędzy na położone w testamencie spłaty dla rodzeństwa. Także młodsi synowie gazdowscy, nieżonaci, którzy dziedziczenia nie mogli się spodziewać, a część pieniężna, jaka by im z gruntu podług niskiego szacunku przypadła, za nikła była, aby z tym żywot jakiś począć. Również gazdowie średni, przez wydawanie młodszych sióstr lub żeńbę braci podupadli, nie mogący sobie mimo orki zaciekłej nijak dać rady. Inni, w kasach i we wsi zadłużeni, wiecznie tym skłopotani, marzący też, by kiedyś dzień bez długów pożyć. No, różnych różne braki popychały — a było takich wielu. I dziewczęta, które we wsi wydać się nie mogły, myślały o Ameryce. Tam, słyszały, każda się wyda od razu, ledwie nogą na lądzie stanie.

Więc się wybierali, po dwóch, po trzech dla śmiałości — że to gdzieś na koniec świata, i dni tyle przez morze — niektórym, którzy tam już mieli krewnych, ci ułatwiali przejazd, przysyłając im w listach „siſkarty". Coraz więcej narodu do tej nadziei — Ameryki się kwapiło.

Aleć nie letko one dolary cenne przychodziły. Trudem mozolnym, pracą ciężką pod ziemią, w kopalniach, trza je było zdobywać. Myśl o domu, czekające tam na te dolary konieczności zdwajały jednak siły.

Trzy kategorie wychodźców „za morze" dałoby się rozróżnić. Tych, co po dwóch, trzech latach pobytu, zarobiwszy na owe konieczności paręset dolarów, wracali do kraju. Tych, co mając się kim zastawić w domu, a chcąc z większym wrócić trzosem, zostawali tam lat kilkanaście. Wreszcie tych, co z różnych przyczyn na stałe w Ameryce pozostali.

Marzeniem pracujących tam czas dłuższy było otworzyć salon (wyszynk), by prędszy i łatwiejszy mieć zarobek; wielu też do tej szczęśliwości przyszło. Niektórzy z dłużej tam bawiących ponabywali domy (house), z których czynsz daje im podstawę życia.

Wychodźcy też nasi w Ameryce starali się trzymać ze swoich stron razem. W Chicago np. jest dzielnica przez Podhalan prawie zamieszkana.

Zróbmy teraz bilans wychodźtwa do Ameryki: jakie zyski przyniosło wsi naszej i jakie straty?

Do zysków, i to niemałych, trza porachować: dopływ pieniędzy do kraju — podtrzymanie i rozwinięcie gospodarstw — rozszerzenie pojęć u chłopa naszego o ludziach i o świecie, obaczenie naocznie, że świat nie koszyczek — przypatrzenie się, jak żyje kraj unormowanej swobody — nabranie poczucia godności i wartości ludzkiej. Tam też chłop nasz przykłonił się do gazet i książki — tam dowiedział się o Polsce.

Straty też, całe nieletkie, dadzą się uważyć. Za nie wszystkimi tam powodzenie szło. Jest takich wielu, którzy zrazu pisali, przysyłali, potem zamilkli: ani nie wracają, ani nic nie dosyłają. Pozostałe w domu żony, radząc sobie jakoś przy pomocy nadsyłanych im dolarów — gdy te urwały się, ostały całkiem bezradne. Lata mijają, młodość uchodzi... gdy żona dowiaduje się przez listy innych, że tam mąż o dom już nie dba, nie myśli wracać, że tam ma pobocznę żonę — tedy i ona w sumieniu czuje się wolna, rozwiązana ze ślubowania — i dla ślebody kryjomej otwiera dom. A gazdostwo podupada. — Wielu, którzy tam na stałe ostali, nabyli domy, samochody, czują się już obywatelami Stanów, dzieci na Amerykanów kształcą. Wracający zaś do kraju po długim pobycie, prócz nieustannie wtrącanych do gwary „Yes", „All right" itp. to już ludzie sterani. Wszyscy to w rzeczy inwalidzi. Wrócili jeszcze na ojczyznę umrzeć, ale już z nich w gazdostwie niewiele pociechy. Wyssała im siły Ameryka. Krwawo zaprawdę te dolary zdobyte. I refleksja się smutna zastanowi: czy warte straconego zdrowia. — W chwilach szczerości, gdy chwalba minęła, przyznają się też, jak tam ciężko było.

— Powiem wam — mówi mi jeden z takich inwalidów — tam ino bisness, dudki. Człek pracujący za maszynę stoi. Ino sie kości mijają. Jakby tu człek tak pracował, jako tam w tej Ameryce, toby sie na kamieniu szczerym chleba dorobił.

Trudno też znaleźć wagę dowodną, by stwierdzić: czy więcej strat, czy zysków Ameryka wsi naszej przyniosła. Lecz widzi mi się, że zyski przeważą.

(„Listy ze Wsi")

MARIA KONOPNICKA

W PUSZCZY BRAZYLIJSKIEJ

Szumcież mi jeszcze, wy ogromne bory,
Sadzone tutaj od naczęcia świata!
I wy, krzyczące ozwijcie się kory,
Gdy po was z jękiem siekiera kołata!
Huczcież mi grzmotem, mazurskie topory,
Gdy skry z nich krzesze prawica żylata,
Jako bywało w ten pierwszy czas stary,
Kiedy się człowiek brał z ziemią za bary.

— — — — — — — — — —

Lecz puszcza stała twardo. Ściąłeś drzewo?
Polec nie miało kędy przed inszemi,
Ale podparte, na prawo, na lewo,

Między stołbami wisło ściśnionemi,
Sypiąc w dół kwiecia i liścia ulewą,
Umiatające gałęźmi po ziemi...
Tak zwartą rotę gdy kula przewierci,
Nie pada żołnierz, lecz stoi — po śmierci.

— — — — — — — — — —

A chłopy trwały setnie, nic tej duszy
Nie popuszczając głosu ni lamentu.
Chłop, jak się zawziął, to prędzej ukruszy
Skałki, niż jego. Ma twardość diamentu.
A jak podźwignie raz brzemię i ruszy,
Do śmiertelnego już idzie momentu...
I chyba tylko w tej drodze go strzyma
Krzywda, a inszej zapory mu nie ma.

Jeden Przytuła... Sczerniał, zsechł na wióra,
Wilkiem poglądał, mrokiem krył się w boru.
Tak ogorzały mu te bujne pióra,
Tak bolącego był w sobie honoru.
Drugi raz w ziemię zasadził kosztura,
Sparł się, zadumał i trwał do wieczoru,
Tylko się wstrząsnął czasem, rzucił głową,
Jakby w grób spojrzał, i nic, żeby słowo...

Raz, mglisty ranek był i głuchym echem
Biły topory w bór, a ów tak do mnie:
—„Słuchaj Waść!.. Gdybym kiedy z ciężkim grzechem,
Z śmiertelnym, zeszedł z świata bezprzytomnie,
Gdybym, wiesz, umarł..." Tu dobył z pośpiechem
Mieszka: — „Ta garść tu miedziaków... Nie pomnę,
Dość, ale na mszę starczy... To was proszę,
Panie Balcerze, za duszę... te grosze..." —

Tak rzekę: „Co ty?" Aż on się zaniesie
Ogromnym płaczem: „Laboga! Laboga!
Jaka tu żałość okrutna w tym lesie!
Jaki ból! Jaka tu jest tęskność sroga!!!
...A któż mą duszę, jak ptaka, poniesie
Do domu, do gniazda?... A gdzież mi tu droga
Do mego rodu?..." Tu zdusi ryk, wzdycha...
— „Tak pamiętajcie... Za duszę msza cicha!" —

Poszedł. A w puszczę padły wielkie cisze
Tych dni. Bór w sobie stanął zadumany,
Ledwie że liść się który zakołysze,
Ledwo zaszepcą na bagnach burzany.
Zwierz w legowisko padł i ciężko dysze,
Zacichły w trzcinach dzwoniące organy,
A słońce niebem w srogich ogniach chodzi
I patrzy tylko z góry, gdzie ugodzi.

— — — — — — — — — —

...Idziem do ciebie, ziemio, matko nasza,
Coś z pierworodnej zrodziła nas gliny!
Idziem do ciebie, rzesza twoja ptasza,
Powracające do gniazd swoich syny...
Niechaj nas dola, jak październik, rozprasza,
Krzykniesz — wnet twoje zbiorą się drużyny.
Przez imię twoje i na twe wołanie
Lud, wierny tobie, u boku ci stanie.

...Idziem do ciebie, ziemio, matko miła,
By upaść czołem na twoje zaprożе...
Nie jeno liczba my — ale i siła.
Nie jeno pług my, co łany twe orze,
Ale i pieron, co Bóg go posyła,
By walił bory o spróchniałej korze...
Nie jeno proch my, co z wiatrem polata,
Ale i bary — dźwignące pół świata!

...Młotami walić będziem w twojej kuźni,
Sochą w rozświtach krajać twe zagony,
Aż ci się pęto u szyje rozluźni,
Aż buchnie z ciebie ogień zatajony...
Niechaj nas nie tknie nikt, niechaj nie bluźni,
Że nie masz synów dla swojej obrony!
Na śmierć, na życie oto ci oddana
Podlaska dusza... podlaska sukmana.

Serca się nasze pod stopy twe ścielą,
Polsko, jaką cię nie widały duchy!...
Ty wyjdziesz srebrna — łzów naszych kąpielą
Wymyta, strojna w zbóż twoich rańtuchy...
Pola się twoje wiosną rozweselą
Ludów! Ty cała w słoneczne wybuchy
Wolności pójdziesz, co tleją już w niebie...
...Idziemy, matko! Idziemy do ciebie!

(„Pan Balcer w Brazylii")

Część III

O PEŁNIĘ PRAW OBYWATELSKICH DLA WSI

ANDRZEJ FRYCZ - MODRZEWSKI

O PRAWACH

Jakoż tedy to prawo może być chwalone, które niejednako wszystkiej rzeczypospolitej jest pożyteczne, które jednakie cnoty niejednakiemi zapłatami nagradza; ani tejże złości, której się różni jednako dopuszczają, nie jednakim karaniem karze, ale jednym, nazbyt folgując, rozpuszcza wodze do występków, a na drugie srogie karanie stanowiąc, odejmuje im moc bronić się od krzywdy? Bo mówię (dając na przykład) o prawie, którym na jedne bardzo srogie, a na drugie bardzo lekkie karanie za mężobójstwo jest postanowione. Ale co o jednym prawie rzeczono, to się i o drugich im podobnych niechaj rozumie. Trafiło się w niektórym powiecie, iż dwa człowieki, jeden prostego stanu a drugi szlacheckiego, oba bogaci i rolej mieli dosyć, ci srodze zranili jednego człowieka, acz nie tak bogatego, jako sami, ale przedsię szlachcica..... Skoro tedy on ranny umarł, wnet poczęto szukać onego prostego stanu człowieka, a gdy postawion przed sędzią, winę mu dano, a potym go ścięto. Bo statut jest, iż człowiek prostego stanu, jeśliby szlachcica (który by przyczyny z siebie najścia nie dał) zabił, albo ochromił, albo srodze ranił, da gardło. To tedy jest karanie, które prostego stanu mężobójca za występek już podjął — lecz on szlachcic jeszcze żyw i mieszka między ludźmi; powiedają, że z osiadłości ma być do sędziego pozwan, a wedle postępku prawa polskiego albo za rany albo za głowę pieniężną winą ma być karan. Izali dla Boga! ta sprawa nie jest takowa, która dwu rzeczypospolitych potrzebuje dla tych dwojga rodzajów ludzi, a tak dale-

ko od siebie oddalonych, iż z jednej do drugiej przystęp żadny nie może być, że też jedna od drugiej pomocy nie potrzebuje, tak, że się ich obywatele między sobą ani pojmują, ani się znają; na ostatek że też ani wody, ani powietrza, ani słońca nie mają wspólnego? Bo to, co jest u nas w obyczaju, iż oboje ludzie, mieszkające w jednej rzeczypospolitej, dla jednej przyczyny jedne ścinają a drugim folgują, aza nie poszło na dziw? Nie trzeba w tej rzeczypospolitej, w której takie prawa panują, spodziewać onego końca, ku któremu ludzkie zgromadzenia bywają: aby wszyscy obywatele spokojnie a szczęśliwie żyć mogli; w której tenże jest żywota twego i śmierci twej pan, a ty bojąc się śmierci, musisz szkody i sromoty albo łajanie od niego cierpieć; w tejże rzeczypospolitej jemu jest żart, a jakoby igrzysko zabić ciebie, a tobie za główny występek poczytają, jeśli go zabijesz lub ranisz. Aleśmy o tym indzie mówili i jeszcze będziemy...

Któż tedy nie baczy, że ta wolność z wielką ludu prostego, a niemężnego niewolą jest złączona?... U nas pospolity człowiek niewolstwem nad miarę jest uciężon, a szlachta zasię nazbyt z wielkiej wolności buja. Czegoż się tedy dobrego mamy spodziewać z tego rzeczy sobie bardzo przeciwnych używania albo przywłaszczania?... A o onych co mam mówić, którzy swawolnie mężobójstwa broją — atoli od tego artykułu są pobudzeni, który i krzywdy i mężobójstwa lekuczko karząc przekłada bogate nad ubogie, szlachtę nad miejski i chłopski stan, to jest ludzi nad psy, jako więc pospolicie tej wolności obrońcielowie i rozumieją i mawiają? Ile tedy jest szlachciców, tyle jest nad podlejszym stanem królów, i owszem; ile możniejszych, tyle nad chudzinami królów. Bo żaden król i owszem żaden tyran nie może mieć większej mocy, jedno nad żywotem i śmiercią czyją; która moc iż przez nasze prawa jest zawikłale dana możniejszym, tedy to na inszym miejscu szerzej okażemy. Nic tedy nie jest rzeczypospolitej szkodliwszego, jako praw i karania różność wedle różności występujących. Bo jednym a jednakim głosem prawo ma do wszystkiego mówić, jednym a jednakim panowaniem ma wszystkim panować tak w rozkazywaniu jako i zabranianiu, jednym a jednakim sposobem o pożytkach i o trudnościach i krzywdach wszystkich wobec stanowić i radzić trzeba. A którzy takim prawem służą, ci za prawdziwie wolne mają być rozumiani, jako on, który, aby długo mógł być wolnym, pragnął tego, aby był niewolnikiem praw... A przeto jeśliżeby jaką różność karania stanowić miano, tedyby więcej ci mieli być karani, którzy są na wysokich urzędziech, niż podlejszego stanu lu-

dzie; srożej bogaci, niż ubodzy, srożej szlachcicy, niźli miejskiego albo chłopskiego stanu, srożej ci, co są na urzędziech, niźli ci, co bez urzędu — bo oni będąc i rozumem i bogactwy od Boga lepiej obdarzeni więcej przyczyn mają, które je od występków odwodzą, a przeto ich występek cięższy jest...

(„O naprawie Rzeczypospolitej")

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

SĄDOWNICTWO PATRYMONIALNE

Sądownictwo patrymonialne ogarnęło w XVII w. wszystkie sprawy życia chłopskiego w najszerszym zakresie. Sprawy cywilne nie miały w ciasnych granicach tego życia wielkiej skali, ale karne zaciągały się od przewinień drobnych aż do gardłowych. Przyznanie się wymuszano torturami (wkręcaniem palców do kurków strzelby, wieszaniem na belce za ręce lub nogi, sypaniem węgli w zanadrze, biciem itp.). Kary w ogóle były bardzo surowe. Włodarz, karbowy za niedbalstwo, za branie pośladów, za mierzenie z czubem itp. podlega karze śmierci; za zbiegostwo w połączeniu z kradzieżą — obcięcie uszu, połowy nosa, wypalenie na czole szubienicy lub liter. Za cudzołóstwo on na ścięcie, ona — na obcięcie uszu i nosa, po złagodzeniu wyroku — on — na 40 plag, ona na 20, z wywołaniem ze wsi. Albo też on na karę śmierci z zamianą na 200 kijów, ona na 100 miotełek, a mąż na 50 za nietrzymanie żony w karności. Za zabicie dziecka — łamanie kołem. Za spalenie lasu przez nieostrożność — szubienica. W motywach wyroku przeciw cudzołóżcy, skazanemu na 60 plag, dodano „a że ma żonę, do skarbu grzywien 30, do kościoła 15, do cerkwi 15".

Anna Wielopolska, kanclerzycowa koronna, ułożyła dość szczegółowy kodeks karny dla wsi Suchej (w Galicji), nie zważając zupełnie na prawa publiczne. Oto kilka przepisów. Za łowienie ryb w stawach i sadzawkach pańskich lub sąsiedzkich, za wynoszenie zboża z gumien i brogów pańskich i sąsiedzkich, za kupowanie rzeczy skradzionych we dworze, za nieprzybycie podczas gwałtu — kara śmierci. Za inne przestępstwa — szkody w lesie i ogrodzie, za rozbieranie płotów, nieuczęszczanie w święta do kościoła itd. — wysokie grzywny.

Najpełniejszy okres kodeksu karnego w sądownictwie patrymonialnym znajdujemy w księdze gromadzkiej Kasiń-

skiej, którą ogłosił B. Ulanowski. Chociaż ona zawiera przepisy i wyroki z dwóch stuleci, można ją uznać za typowy wymiar sprawiedliwości całego okresu, w którym chłop pozostawał bezwzględnie pod sądem pana. Dodajemy, że „państwo" kasińskie było własnością klasztoru. Pewna wieśniaczka za to, że mówiła o niesprawiedliwości dworu, skazana została na 6 plag i ofiarę do kościoła. Pewien wieśniak zaś za to samo — na 20 plag. Pomawianie dworu o niesłuszny wyrok groziło karą 60 plag i 30 grzywien. Grzegorz Łukaszów rzucił się z siekierą na rządcę: wtrącony do więzienia, wydobył się z niego siłą. Za to skazany został: 1) cała gromada biła go przy tej dziurze, przez którą uciekł; 2) musiał tą dziurą wleźć nazad do więzienia; 3) siedzieć w łańcuszku na szyi przez trzy tygodnie; 4) naprawić więzienie; 5) dać panu winy 10 grzywien; 6) przed kościołem stać w kunie na szyi przez cztery niedziele; 7) stojąc trzymać na szyi siekierę; 8) kościołowi dać parę podarunków i trzy kopy gontów; 9) na wiosnę zaorać rolę szpitalną, obsiać swoim owsem, zebrać i znieść.

Szczególnie surowo karany był opór „zwierzchności". Za zniewagę słowną grzywny i trzy dni w kłodzie. Pod r. 1606 „z rozkazania wszystkich ojców (dominikanów) konwentu na wieczne czasy wpisano w księgi gromadzkie: kto by się na urząd porwał ręką, tedy albo rękę uciąć, albo gardło".

Wydawała postanowienia i wyroki również gromada, ale tylko takie, które dla panów były korzystne lub obojętne — np. przeciw niechcącym iść zamąż lub do służby — 6 łokci przędzy do dworu i 10 plag, za picie wódki w cudzej karczmie — 12 itd.

A oto jeszcze kilka artykułów z kodeksu kasińskiego. Za samowolne opuszczenie gruntu utrata całego majątku; jeśli zaś podejrzany o to dał rękojemców i przysiągł, że nie ucieknie a uciekł i zabrał inwentarz — kara śmierci z zamianą na grzywny. Za sprzedaż gruntu bez wiedzy pana kara pieniężna obu stron lub plagi. Za sprzedaż bydła i sprzętów, należących do roli, 10 grzywien, 50 plag i więzienie aż do czasu zwrotu. Zaniedbanie gospodarstwa, nienależyte odbywanie powinności pańszczyźnianych, sprzedawanie cudzej wódki groziło plagami i więzieniem. Zabójstwo karano śmiercią, ale (wyjąwszy czarownice, które palono) chętnie zamieniano na pieniądze, bo „zwierzchność" nie traciła poddanego i dostawała pieniądze. Podobnie unikano dłuższego (niż miesiąc) więzienia, ażeby nie tracić siły roboczej.

Za znieważenie matki 30 plag synowi i 6 plag ojcu za to, że źle wychował syna. Kto w święta nie bywał w kościele lub chodził do obcego 12 plag. Tęż samą karę za pracę w niedzielę. Panowie świeccy i duchowni nie czuli się skrępowani wydanymi poprzednio dekretami i wydawali nieraz sprzeczne.

We wszystkich artykułach tego kodeksu łatwo dostrzec korzyść materialną pana jako wyłączną miarę sprawiedliwości i zupełną jego niezależność w stanowieniu praw dla wszelkich objawów i stosunków ludzkich do życia i śmierci włącznie. „Gdyby nie stacje żołnierskie i hiberna — powiada Ulanowski — żaden z obywateli kosińskich nie uczułby nigdy, że poza wsią i dworem jest jeszcze coś większego, że jest Rzeczypospolita polska, państwo wielkie i potężne, ogarniające tysiące wsi i dworów".

Jest to znamiennym rysem jurysdykcji patrymonialnej, że sprawujący ją panowie w wypadkach, grożących karą śmierci, starali się stawać poniekąd poza sądem, złożonym zwykle z członków wiejskich i miejskich, a gdy zatwierdzali ich wyrok gardłowy, dla wykonania go odsyłali skazańców do sądów publicznych. Czynili to chyba nie z litości, ale raczej z odrazy do uczestniczenia w tej operacji. —

(„Historia chłopów polskich")

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

CHŁOP W WALKACH ZA OJCZYZNĘ

Za użytkowanie kawałków dzikiej ziemi, którą zamieniali na płodne role i do której nabyli praw zupełnej własności swą ciężką pracą i cierpieniem, chłopi płacili ojczyźnie całym wytworzonym przez nich dobrobytem, otrzymując wzamian tylko tyle, ile wystarczało zaledwie na utrzymanie ich nędznego życia. Nie dość tego — składali oni jej nadto ofiarę ze swej krwi, którą szlachta przyjmowała od nich z przymusem i pogardą, wyłączając ich w swych opisach od zasługi bronienia kraju. Chłopi współdziałali w tworzeniu historii, ale jej nie pisali i dlatego ta ich ofiara wsiąkła w grunt opowiedzianych dziejów bez widocznych śladów. Jest to nie tylko wielki błąd badań, ale też wielka ich niesprawiedliwość. Chłopi od początku i ciągle walczyli za ojczyznę nieraz nawet chętniej i mężniej, niż jej „urodzeni" i uprzywilejowani rycerze. Służba wojskowa ludu wiejskiego należała za pierwszych Piastów do jego powinności publicznych. Pełnił on ją około grodów jako straż i w grodach jako załoga obronna podczas wojen. W pierwszym wypadku jego obowiązek polegał na obsługiwaniu i ubezpieczaniu

obozów warownych, które głównie zakładał B. Chrobry, w drugim — na stawianiu oporu najeźdźcom w tych twierdzach, przez rycerstwo opuszczonych. Nadto pierwsi Piastowie gminem dopełniali i wzmacniali swe nieliczne wojsko. Bolesław I składał pułki z chłopów, których uwalniał od innych powinności i nadawał im ziemie, a Bolesław III był ojcem myśli, którą później rozwinął i urzeczywistnił Stefan Batory. Obaj Bolesławowie zawdzięczali nawet ocalenie swego życia żołnierzom chłopskim. Należeli oni do pośledniejszego gatunku wojska, stali w tylnych jego szeregach i puszczani byli do bitwy wtedy, kiedy pierwsze się załamały. Odwrotnie używano ich przy szturmach, wysyłając do nich naprzód chłopów, a dopiero gdy oni zrobili wyłomy w obwarowaniach i wdarli się wewnątrz, posyłano za nimi rycerzów.

Stulecia XVI i XVII były okresem największego zapotrzebowania sił chłopskich dla częstych i uciążliwych wojen a zarazem największego odznaczenia się piechoty ludowej w masie i pojedyńczych bohaterach. Stryjkowski wysławia w POBUDCE męstwo Mazura, uzbrojonego tylko szarsznurem (rodzaj szabli), pukawką i kijem. Pod Płockiem dokazywał cudów waleczności Łukasz Serny, sandomierzanin, uszlachcony potem przez króla. Wąs, kotlarczyk ze Lwowa, niosąc kocioł pełen węgli rozżarzonych i pochodnię, podkradł się pod wieżę twierdzy i wzniecił pożar, za co również otrzymał szlachectwo. Podczas zdobywania Wielkich Łuków Wieloch, włościanin ze wsi Miastkowa, chociaż postrzelony, poszedł z ogniem w ręku i podpalił parkan forteczny. Pod wpływem tych dowodów zmieniła się opinia o piechocie. Dawniej mówiono: „Polska piechota mała cnota lub lichota", a odtąd powtarzano: „Kto bez piechoty wojuje, ten czatuje nie wojuje".

Najświetniejszą epoką żołnierskich triumfów chłopstwa był najazd szwedzki, z którym ono walczyło pod komendą szlachecką i samodzielnie. Częstochowę obroniło 200 włościan przeciw 9.000 Szwedów. Za ludem krakowskim i sandomierskim powstali górale, zwani za Wazów Wołochami. Czarnecki utworzył z nich pułk partyzancki, do którego przyłączyli się chłopi przyprowadzeni przez starostę żywieckiego. „Szwedzi — mówi przytoczony przez A. Szymańskiego DESNOGERS — musieli wysłać tysiąc piechoty ku Sączowi, ażeby rozpędzić kupiących się tam chłopów; lecz tych tak znaczna liczba była, iż ani jeden Szwed nie wrócił donieść, co się tam dzieje. Ciekawą postacią jest niejaki Michałko. Pisze o nim Patrick Gordon, szkot, służący u Szwedów, w swym pamiętniku. Wojował on z Karolem Gustawem, dokuczając mu szczęśliwie prowadzoną partyzantką, za co został nobilitowany na sejmie 1659 r. i nazwany Michalskim herbu Radwan. „Lud okoliczny, mając w jego szeregach krewnych i znajomych, sprzyjał mu wszędzie, donosił o każdym obrocie nieprzyjaciela, ułatwiał przechody i udzielał

wszelkiej czynnej pomocy. Szwedów zaś fałszywymi doniesieniami mieszał lub w zasadzki wprowadzał". Gdy go złapali (przedtem u nich służył), mieli go stracić jako zbiega. Dowiedział się o tym Czarnecki i zagroził w odwet straceniem Szwedów. Po nobilitacji otrzymał Michalski od króla sołtystwo w ekonomii malborskiej i rotmistrzostwo w wojsku autoramentu cudzoziemskiego.

Konfederacja tyszowiecka (zawiązana przeciw Szwedom) zgromadziła 40.000 armię, która oprócz rot dworskich i łanowych zawierała wielką liczbę ruchawki chłopskiej. Z nią odzyskano Sandomierz, Kościan, Łężyce a wreszcie Warszawę. Tu zdobywano dom po domu, kościół po kościele. Opis tego boju świadczy o nadzwyczajnym męstwie chłopów. Piechota łanowa walczyła pod Wiedniem. W wigilię bitwy Sobieski kazał wojsku defilować przed książętami niemieckimi: gdy nadchodził pułk łanowy, cały w łachmanach, król zawstydzony uciekł się do konceptu, ażeby pokryć skąpstwo sejmu: „Przypatrzcie się — mówił — tym walecznym: jest to pułk niezwyciężony, który sobie poślubił nie nosić innej odzieży, tylko tę, którą zedrze z poległych nieprzyjaciół". Kiedy po bitwie Sobieski kazał tym, którzy mieli niekruszone kopie, sformować pierwszy szereg zjawił się w nim prosty pachołek. Towarzysz husarski chciał mu odebrać kopię i wypchnąć go w tył, ale chłopak nie oddał mu broni, mówiąc: „Ja ją zdobyłem w bitwie i nie rzuciłem, jak tylu innych, ona do mnie należy". Król pochwalił opór pacholika, zostawił go w szeregu i wcisnął mu w rękę 5 dukatów.

W roku 1717 nastąpiło stanowcze i niepowrotne rozwiązanie piechoty łanowej — właśnie wtedy, kiedy szlachta była najmniej skłonna i zdolna do obrony kraju i kiedy on najbardziej tej obrony potrzebował.

(„Historia chłopów polskich")

STANISŁAW STASZIC

GŁOS W OBRONIE STANU CHŁOPSKIEGO

Niebezpieczno jest zapewnić rolnikowi sprawiedliwość. Wieleż to twardości i barbarzyństwa w takich słowach. I któraż to moralność, któraż to Religia nie potępi, nie odrzuci od oblicza i od miłosierdzia Stwórcy tych wszystkich, co odmawiają sprawiedliwości człowiekowi, rolnikowi, temu, co naród ludzki żywi!...

...Rolnictwo mnoży i łączy ludzi. Gdzie ludność będzie wielka, a lud złączony, tam niewoli koniec. W porównaniu do takiego Narodu, Despota, z trzechkroć stu tysięcy żołnierzami, ukaże się tylko śmiertelnym człowiekiem.

...Rolnictwo jest to źródło bogactwa życia i wolności. Ta to jest wielka sztuka, przez którą tylko Rzeczpospolita może powiększyć podatki.

Z wszystkich Stanów, z wszystkich rzemiosł i nauk najpierwszym rolnictwo. Rolnik jest karmicielem towarzystwa. Każdy inny człowiek wyjadaczem. W towarzystwie tylko jeden rolnik niekoniecznie od innych Stanów zawisł. On jeden mógłby się bez wszystkich innych utrzymać. Wszystkie inne Stany bez rolnika niszczeć muszą. Każdy kto żyje w towarzystwie, a nie jest rolnikiem, rolnikowi życie winien.

...Kiedykolwiek inne przemożne Stany rolnika obciążają , zabijają samych siebie.

Im swobodniejszy, im liczniejszy, im pracowitszy będzie rolnik, tym lepiej będzie wszystkim innym Stanom. Kraj będzie bogaty.

Wniosek oczywisty: że cokolwiek inne Stany uczynią dla stanu rolniczego, to uczynią dla kraju. Kiedykolwiek wieśniaka dostatki powiększą, zawsze oni wraz z krajem staną się majętniejszymi, bogatszymi i swobodniejszymi.

...Tam gdzie stan rolniczy będzie najliczniejszym, najpracowitszym, a przeto najbogatszym, tam wszystkich stanów i całego kraju powszechna i stała szczęśliwość wzmoże się. A los towarzystwa na wszystkie przypadki niewzruszonym stanie. Tam wkrótce zakrzewi się jedyny zaszczep wewnętrznego i zewnętrznego handlu, przemysł, w którego ręku jest dzisiaj waga wszystkich całego świata pieniędzy. Bez pewnego stopnia doskonałości rolnictwa nie może w kraju ani powstać, ani się zawziąć, ani wydoskonalić przemysł, rękodzieła i fabryki....

Więc ten stan, który towarzystwu daje żywność, ludzi i podatki, nad wszystkie inne być przeniesiony powinien. Jemu się najprędsza obrona, pierwszy szacunek należy. Dopiero po uszczęśliwieniu rolnika ukaże towarzystwo swoją obronę i względy innym stanom, urodzaje krajowe kształtującym.

...Rzeczpospolita chcąc swój los zapewnić, chcąc się w równości z innymi państwy postawić, chcąc im wyrównać w podatkach, a tak, wyrównawszy w mocy, być poważaną i wolną, powinna koniecznie przy ustawie swojego rządu obmyśleć sposoby poprawy rolnictwa.

...Przez uwagi na inne potrzeby wewnętrzne i przez uwagi na potrzeby naszej obrony zewnętrznej, dla powiększenia w miarze do Państw sąsiedzkich podatku, koniecznie starać się należy o poprawienie rolnictwa.

Z teraźniejszym podziałem ziemi w Rzeczypospolitej, z teraźniejszym urządzeniem własności gruntowej, jest niepodobieństwo, aby się w Polszcze rolnictwo podnieść mogło do tego stopnia doskonałości, jakiej wyciągają teraźniejsze kraju potrzeby i bezpieczeństwa.

(„Przestrogi dla Polski“)

MANIFEST TOWARZYSTWA DEMOKRATYCZNEGO Z R. 1836

Paryż, d. 4 grudnia 1836 r.

Zbrodnia na Polsce dokonana przerwała tylko byt polityczny kraju, nie zniszczyła życia narodu. Nieustanne od czasu Konfederacji Barskiej o niepodległość usiłowania, potoki krwi po tylu świata stronach za nią przelane, obecne tułactwo nasze, sama nawet wściekła morderców Polski zaciętość i powszechne ludów spółczucie, nieomylne przynoszą świadectwo, że naród Polski żyje, że jest pewny przyszłości swojej. Polska czuje w sobie niezgasłe siły, jej wskrzeszenia żądają ludy, lękają się ciemiężcy: więc to, co nosi na sobie tak wielkie powszechności znamię, fałszem być nie może. Głos ludzkości był zawsze głosem Boga.

Wielkie posłannictwo Polski nie jest jeszcze dokonane.

— — — — — — — — — — — —

Dla odzyskania niepodległego bytu Polska ma w łonie własnym olbrzymie siły, których dotąd żaden głos sumienny i szczery nie wywołał jeszcze. Nietknięta to prawie, równie zewnętrznym, jak wewnętrznym nieprzyjaciołom straszna potęga. Nią Polska powstanie.

Lud Polski z praw wszelkich wyzuty, ciemnotą, nędzą i niewolą przyciśniony, wydartą mu przed wiekami ziemię dotąd w krwawym pocie na cudzą korzyść uprawia; dotąd jeszcze w prowincjach dawnych przez Moskwę zagarnionych, jako własność nieoddzielna od ziemi, wraz z nią jest przedawany. Cierpiąca i znieważona w nim ludzkość o sprawiedliwość woła. Na głos ten głuchymi byli wewnętrzni ujarzmiciele. W ciągu ostatnich o niepodległość usiłowań chcieli oni, nadużywając świętego imienia miłości Ojczyzny, samym dźwiękiem słów nakarmić lud, niedostatkiem fizycznym dręczony, chcieli, aby krew swoją przelewał za Ojczyznę, która przez tyle wieków wzgardą, poniżeniem i nędzą pracę jego nagradzała, wołali, aby powstał i najezdników zniszczył — oni! którzy sami najezdnikami praw jego byli. Dlatego na obłudne ich wołania słabe tylko odpowiedziało echo — i upadliśmy.

Jeżeli ta przerażająca nauka, tylą krwawymi okupiona ofiarami, nie ma zaginąć, jeżeli nowe powstanie nie ma być smutnym dawnych powstań powtórzeniem, pierwszym do boju hasłem powinno być usamowolnienie ludu, oddanie wydartej mu ziemi na własność bezwarunkową, wrócenie praw,

powołanie do używania korzyści niepodległego bytu wszystkich bez różnicy wyznań i rodu. — Taki tylko wymiar sumiennej, szczerej, niedwuznacznej sprawiedliwości rozwinąć może w całej uciśnionej masie uczucie prawdziwego poświęcenia się i wlać to wielkie przekonanie, iż dwudziestomilionowy naród koalicję Europy całej zniszczyć i zburzyć jest w stanie, tak jak ją zniszczyła niedawnymi czasy republikancka Francja. — Mało który naród zrównał narodowi Polskiemu w miłości ojczystej ziemi, w poświęceniach żaden go nie przewyższył. Jeżeli w ostatnim powstaniu najpotężniejszy nieprzyjaciel ludzkości w dziesięciomiesięcznej z nami walce, wśród tylu błędów, zdrad i niedołężności dowódców naszych żadnym zwycięstwem pochlubić się nie mógł, czymże będą jego zbrojne tłumy wobec wszystkich sił narodowych miłością ojczyzny i odwieczną sprawiedliwością wywołanych.

Dla ugruntowania odzyskanej niepodległości na demokratycznych zasadach Polska ma również w łonie własnym narodowe żywioły. Idea demokratyczna w całym narodzie naprzód rozlana, potem w stanie szlacheckim rozwijana i kształcona, łatwo napowrót wcieloną być może w lud, który mimo długą niewolę i ucisk, zachował niezatarte jeszcze dawnego gminowładztwa ślady. Cierpiąca u nas ludzkość nie jest do cierpiącej ludzkości Europy zachodniej podobną i nie zaraziły jej zepsucie i egoizm klas uprzywilejowanych; jest w niej dotąd cała dawnych cnót prostota, jest prawość i poświęcenie się, są religijne uczucia, czyste i łagodne obyczaje. Na tak nieskażonym i świeżym jeszcze gruncie łatwo rozkrzewi się starożytne narodowe drzewo równości, sumienną ręką braterstwa i wolności pielęgnowane.

W Polsce więc są wszystkie warunki odzyskania niepodległego i demokratycznego bytu. Ona sama zdolną jest własnymi siłami powstać, najezdników zniszczyć, jarzmo wewnętrzne złamać i na trwałych zasadach demokracji istnienie swoje ugruntować.

Lecz Polska oprócz sił własnych ma naturalnych sprzymierzeńców. Jeszcze podczas krwawej z nieprzyjacielem walki każde jej zwycięstwo okrzykami radości i uwielbienia przyjmowała Europa, a my, wyobraziciele nieszczęść i nadziei ujarzmionego narodu, znaleźliśmy wylane dla siebie serca i przytułek na łonie powszechnej sympatii. Z nieśmiertelnym duchem Polski sprzymierzyły się ludy, i na tej samej mogile, na której absolutyzm piekielny zawarł związek, bratnie podały sobie ręce. Nasz nieprzyjaciel stał się ich nieprzyjacielem, a ich nieprzyjaciele — naszymi. Dlatego też

my, przekonani, iż podsycane dawniej nienawiści narodowe zupełnie zaginęły, wierzymy w szczere ludów spółdziałanie, na powszechnym braterstwie i wspólnej usamowolnienia potrzebie oparte.

Gabinetowe układy nie przywrócą Polski, a monarchiczne wojny sprawiedliwości ludowi nie wymierzą. Tak nam jednak drogą jest Ojczyzna, tak mocno bolą nas jej rany, iż z żadnego wypadku, z żadnej przyjaznej okoliczności korzystać nie zaniedbamy. Ogarniemy przeto wszystko, co sprawie naszej w czymkolwiek użyteczne być może; co osiągnienie głównego celu ułatwić lub zbliżyć jest zdolne.

Oto jest sumienny, szczery, niedwuznaczny wykład naszych zasad, celów i środków. Ich urzeczywistnieniu poświęcimy całe życie. — Przysięgliśmy w obliczu Ojczyzny i ludzkości nie wprzód spocząć, aż Polska odzyska niepodległość i byt swój na zasadach demokratycznych ustali. To uroczyste zobowiązanie z młodzieńczym uczynione zapałem, z męską dokonamy wytrwałością. Nie zraził nas ogrom przedsięwzięcia, nie zatrwożą przeciwności, bo sprawiedliwość, o którą wołamy, prawda, którą ogłaszamy, mają wszechmocną potęgę.

Kto, jak my, wierzy w świętość celów, w sumienność zasad i stateczność środków naszych.— czyje serce czysto bije dla Ojczyzny i ludzkości, niech usiłowania swoje z naszymi łączyć przychodzi. Innej wiary ludziom nie podamy ręki, bo z sumienia żadnych koncesyj zrobić nie jesteśmy w stanie. Dla pozornej jedności nie poświęcim politycznej wiary, ani chwilowej zgody półśrodkami kupować nie będziemy. Owszem, burzyć wszystkie na przeciwnych podstawach oparte i do władzy dążące związki jest naszym powołaniem i mocnym postanowieniem; byłego sejmu nawet, gdyby mógł jeszcze ze swoich szczątków zebrać się w jakimkolwiek składzie, jako reprezentanta przywilejów i zatraciciela rewolucji listopadowej, kierownikiem sprawy ojczystej nie uznamy. Dalecy zaś wszelkich ubocznych i z odrodzeniem Ojczyzny żadnych styczności nie mających przedsięwzięć, pracować będziemy przez Towarzystwo dla Polski — przez Polskę dla ludzkości.

Oświadczamy na koniec, iż daleką jest od nas chęć mordów i pożogi własnego kraju. Nie z mieczem Archanioła, ale z księgą dziejów ojczystych w ręku — z jednej strony wykazywać będziemy uciśnionym, iż owe prawa boskie, owa kilkuwiekowa przemoc ludzka, nie obowiązują ich do pozostawania dłużej w nędzy i znieważającej godności człowieka niewoli; z drugiej, budząc też same uczucie odwiecznej sprawiedliwości, przywodząc też same historyczne wspomnienia,

nie przestaniemy wołać na dziedziców przywłaszczeń i przesądów szlacheckich, w imię własnego ich interesu, w imię dzisiejszej oświaty, a szczególniej w czarodziejskie dla nas wszystkich imię miłości Ojczyzny, o powrócenie wydartych praw ludowi. Nie wiemy, czyli uczucie sprawiedliwości w jednych, czyli zniecierpliwienie i zawiedzione oczekiwania w drugich, będą hasłem wyswobodzenia Polski. Gdyby jednak konieczna zmiana porządku społecznego i za nią idąca niepodległość, bez gwałtownych wstrząśnień obejść się nie mogły, gdyby lud musiał być surowym sędzią przeszłości, mścicielem wyrządzonej sobie krzywdy i wykonawcą niecofnionych wyroków czasu, my dla garstki uprzywilejowanych nie poświęcimy szczęścia dwudziestu milionów, a przelana krew bratnia spadnie tylko na głowy tych, co w zapamiętaniu własny egoizm nad wspólne dobro i wyjarzmienie Ojczyzny wynoszą.

MANIFEST RZĄDU NARODOWEGO Z R. 1846

Kraków, d. 22 lutego 1846 r.

Polacy! Godzina powstania wybiła — cała rozszarpana Polska dźwiga się i wzrasta — powstali już Bracia Nasi w Księstwie Poznańskiem, w Polsce Kongresowej, w Litwie i na Rusi biją się z wrogiem. Biją się o najświętsze prawa wydarte im podstępem i przemocą...

Jest nas dwadzieścia milionów, powstańmy razem jak mąż jeden, a potęgi naszej żadna nie przemoże siła, będzie nam wolność, jakiej dotąd nie było na ziemi, wywalczymy sobie skład społeczeństwa, w którym każden podług zasług i zdolności z dóbr ziemskich będzie mógł użytkować, a przywilej żaden i pod żadnym kształtem mieć nie będzie miejsca, w którym każdy Polak znajdzie zabezpieczenie dla siebie, żony i dzieci swoich, w którym upośledzony od przyrodzenia na ciele lub na duszy, znajdzie bez upokorzenia nieochybną pomoc całego społeczeństwa, w którym ziemia dzisiaj przez włościan warunkowo tylko posiadana, stanie się bezwarunkową ich własnością, ustaną czynsze, pańszczyzny i wszelkie tym podobne należytości bez żadnego wynagrodzenia, a poświęcenie się sprawie narodowej z bronią w ręku, będzie wynagrodzone ziemią z dóbr Narodowych.

Polacy! Nie znamy odtąd między sobą żadnej różnicy, jesteśmy odtąd Braćmi, Synami jednej Matki Ojczyzny, jed-

nego Ojca Boga na niebie! Jego wezwijmy na pomoc, a On pobłogosławi orężowi naszemu i da nam zwycięstwo; ale aby wysłuchał głosów naszych nie kalajmy się pijaństwem, ani rabunkiem, nie plamijmy poświęconej broni samowolnością lub morderstwem bezbronnych różnowierców i cudzoziemców, bo nie z ludami, ale z ciemiężcami naszymi bój prowadzimy. A teraz na znak jedności przypinajmy kokardy narodowe i wykonajmy przysięgę: „Poprzysięgam radą, mową i czynem służyć Ojczyźnie mojej, Polsce! poprzysięgam poświęcić jej wszystkie moje widoki osobiste, majątek i życie! poprzysięgam posłuszeństwo bezwarunkowe Rządowi Narodowemu w Krakowie na dniu 22 m.t. o godzinie 8-mej wieczorem w domu pod Krzysztoforami zawiązanemu i wszystkim władzom od tegoż postanowionym, tak mi Boże dopomóż".

Manifest niniejszy ma być w Dzienniku Rządowym umieszczony, w osobnych odciskach na całą Polskę rozesłany i natychmiast we wszystkich kościołach z ambon i we wszystkich gminach przez przybicie na miejscach publicznych obwieszczony.

Ludwik Gorzkowski — Jan Tyssowski — Aleksander Grzegorzewski, Sekretarz Rządu Karol Rogawski.

(Dziennik Rządowy Rzeczypospolitej Polskiej Nr 1.)

MANIFEST LUBELSKIEGO RZĄDU LUDOWEGO Z R. 1918

Lublin, d. 7.11. 1918 r.

...

5. Wszystkie w Polsce donacje i majoraty ogłaszamy niniejszym za własność państwową. Dla przeciwdziałania spekulacji ziemią będą wydane osobne przepisy.

6. Wszystkie lasy zarówno prywatne jak rządowe ogłaszamy za własność państwową, sprzedaż i wyrąbywanie lasów bez specjalnego pozwolenia od chwili ogłoszenia niniejszego dekretu jest wzbroniona.

...

Na Sejm Ustawodawczy wniesiemy projekty następujących reform społecznych:

a) przymusowe wywłaszczenie i zniesienie wielkiej i średniej własności ziemskiej i oddanie ludu pracującego pod kontrolę państwową.

...

Ludu Polski!

Te reformy polityczne i społeczne, które pragniemy w życie wcielić, są najniezbędniejsze. Bez urzeczywistnienia ich Polska nigdy nie dźwignie się z dzisiejszej nędzy, bezwładu i upokorzenia...

Ludu Polski!

Wybiła godzina twego czynu. Weź wielkie dzieło wyzwolenia Twej ziemi, przesiąkniętej potem i krwią Twych ojców i praojców w swe spracowane i mocne dłonie i przekaż następnym pokoleniom wielką i wolną, zjednoczoną Ojczyznę. Stań jak jeden mąż do czynu, nie poskąp wielkiemu dziełu wyzwolenia Polski i pracującego w niej człowieka ani mienia, ani ofiar, ani życia.

Was, bratnie narody:

litewski, białoruski, ukraiński, czeski i słowacki wzywamy do zgodnego z nami współżycia i wzajemnego wspierania się w wielkim dziele tworzenia związku wolnych i równych narodów.

Tymczasowy Rząd Ludowy
Republiki Polskiej

WŁADYSŁAW GRABSKI

USTRÓJ AGRARNY POLSKI

Na zasadzie pewnych obliczeń, objaśnionych w załączniku, ustrój agrarny Polski współczesnej bez Górnego Śląska i Kresów daje się ująć w następujące cyfrowe zarysy ogólne. Wśród ogółu ludności rolniczej w Polsce mamy 31% bezrolnych. Reszta ludności składa się:

a) z większych właścicieli (ponad 100 hektarów), którzy stanowią 0,6% ogółu ludności rolnej i posiadają 31% obszaru całej własności prywatnej.

b) średnich właścicieli, stanowiących 3% ludności rolnej, mających 11,3% obszaru.

c) pełnorolnych gospodarzy, mających od 5—20 hektarów, których jest 27,7% co do liczby, a mają 31,3% obszaru gruntów (tyle co większa własność).

d) mniejszych gospodarzy od 2—5 hektarów, których jest 37,3%, a więc największa ilość co do liczby, a gruntu mają 20,9%

e) wreszcie drobnych gospodarzy poniżej 2 hektarów, których jest 31,4%, a mają oni 5,5% gruntu.

Ostatnia kategoria, stanowiąca 31,4% ludności rolnej, wynosi 21,6% ogółu ludności rolniczej, a więc razem bezrolni i małorolni stanowią w Polsce 52,6% ludności rolniczej, czyli większość ludności na wsi. Razem z proletariatem nierolniczym na wsi te kategorie ludności mają ogromną przewagę liczebną nad ludnością posiadającą powyżej 2 hektarów.

Ludność posiadająca 2—20 hektarów, stanowiąca 65% ludności rolnej, a więc wynoszącą znaczną jej większość, ma 51,7% ogółu gruntów, czyli dominującym elementem w zakresie życia ekonomicznego wsi polskiej. W życiu społecznym, podział ogółu ludności daje podstawy dla dominującego stanowiska ludności bezrolnej i małorolnej.

Kategoria średniej własności, nawet w połączeniu z większą własnością, nie posiada w Polsce większości gruntów (tylko 42,9%), a liczebnie jest niezmiernie słaba (średnia i większa własność — 3,6% ludności).

Prócz gruntów, stanowiących własność prywatną, znajduje się w Polsce dość rozległa własność skarbu, miast, fundacji i kościoła, obejmująca 8,6% przestrzeni kraju (najwięcej w zaborze pruskim, najmniej w Królestwie Polskim), wreszcie własność wspólna wsi (pastwiska i lasy), istniejąca w Galicji i Królestwie, obejmująca 5% przestrzeni kraju.

— — — — — — — — — — — —

Różnice ustrojowe dzielnic i części ich w Polsce daje się określić w sposób następujący: Najbardziej typowy ustrój dla całej Polski ma Królestwo Polskie, ma ono ten sam prawie procent większej własności (31,5%), ten sam procent bezrolnych 31%, które dla całej Polski wypadają — ma przy tym mniej gospodarstw poniżej 2 hektarów oraz powyżej 20 hektarów, niż to dla całej Polski wypada, czyli ma ustrój agrarny wybitnie równomierny z przewagą ogromną średnich typów od 2—20 hektarów, z większą ilością gospodarstw 2—5 ha, ale ze znaczną przewagą co do obszaru posiadania gospodarstw od 5—20 hektarów (36,6% obszaru, i 33,1% ilości gospodarstw od 5—20, a gospodarstw od 2—5 ha — 42,6% ilości oraz 21,6% obszaru).

Galicja i zabór pruski (tj. Poznańskie i Pomorze) to dwa krańce pod wieloma względami. Największy procent większej własności i bezrolnych ma zabór pruski (41%), najmniejszy Galicja (25%). Procenty ilości ludności bezrolnej oraz obszaru większej własności zlewają się we wszystkich zaborach, czyli że stosunek obszaru większej własności do ogółu ziem prywatnych odpowiada jak najzupełniej procentowi ludności bezrolnej wśród ogółu ludności wsi. Różnice pod tym względem pomiędzy Galicją a zaborem pruskim są znaczne, zabór ma bowiem z górą półtora raza tak duży stosunek

większej własności i bezrolnych jak Galicja. Lecz większe różnice widzimy co do znaczenia średniej własności (20—100 ha) oraz drobnej własności (od 2—5 ha). Pierwsza kategoria w Galicji jest niezmiernie nikła: wynosi 0,9% ogólnej ilości i 8% obszaru, w zaborze zaś pruskim zajmuje dość poważne miejsce, wykazując 10% ogólnej ilości, a 27,3% ogólnego obszaru prywatnej własności.

W dzielnicy pruskiej, tak samo jak i w województwie białostockim obecnym średnia własność jest bardzo typowym zjawiskiem agrarnym tak samo, jak w wielu krajach za Zachodzie, a w Galicji jest ona prawie wyjątkiem.

Natomiast własność od 2 do 5 ha, która w Galicji stanowi 38,7% ogółu gospodarstw i zajmuje 28,8% przestrzeni, w zaborze pruskim stanowi 18,3% ilości i zajmuje 4,1% przestrzeni, ma przeto bardzo małe znaczenie, podczas gdy w Galicji ten rodzaj własności zajmuje ze wszystkich przez nas rozpatrywanych kategorii największą przestrzeń. Co się tyczy gospodarstw poniżej 2 ha, to tylko w tym jednym obydwa zabory pruski i austriacki są do siebie podobne, że mają stosunkowo dużą ilość tych gospodarstw (pierwszy 57,5%, drugi 43% ogólnej ilości) znacznie większą, niż w Królestwie Polskim.

— — — — — — — — — — — —

Zestawiając wszystkie właściwości ustroju agrarnego Polski (bez Kresów), możemy określić, że stanowi ona kraj o właściwościach następujących:

1. Nieznaczna przewaga ludności rolniczej nad pozostałą ludnością (55%).

2. Duża gęstość ludności rolniczej (61 osób na km kw.).

3. Średnio znaczna przestrzeń większej własności (powyżej 100 ha — 31% obszaru prywatnej własności), z czego połowa stanowi duże majątki (powyżej 1000 ha), a połowa majątki średnie, złożone z jednego lub dwu folwarków.

4. Znaczna ilość ludności bezrolnej (31% ludności rolniczej) oraz małorolnej (poniżej 2 ha stanowią 21,6% ludności rolniczej, a 31,4% ogólnej ilości właścicieli gruntu).

5. Mała ilość gospodarstw średnich 20—100 hektarów (11,3% obszaru gruntu, o 3% ilości gospodarstw).

6. Cechę zasadniczą stanowi, że więcej jak połowa gruntu całej przestrzeni (52,2%) należy do gospodarzy mających od 2—20 hektarów, którzy stanowią 65% ogólnej ilości gospodarzy wiejskich, a którzy jednak wynoszą tylko 45% ludności rolniczej, gdyż większość tej ludności to bezrolni i małorolni poniżej 2 ha mający.

7. Gospodarstwa od 2—5 ha są w Polsce znacznie mniej liczne od 5—20 ha (37,3% wobec 27,7%) ale mają mniej gruntu

(20,9% na 31,3%). Zasadniczą więc cechą ustroju agrarnego Polski jest przewaga wśród drobnej własności typów o mniejszej rozległości.

8. W Polsce własność publiczna stanowi niezbyt wielki, ale dość znaczny obszar, wynoszący 7,6% przestrzeni kraju, składający się w ogromnej swej większości z lasów.

9. Grunty wspólne, składające się przeważnie z pastwisk wioskowych i miejskich oraz lasów do wsi całych należących, zajmują w Polsce niewielkie przestrzenie (5% ogólnego obszaru).

10. Dzierżawy w Polsce są na ogół rzadkim zjawiskiem, częstsze są tylko w latyfundiach w postaci wydzierżawienia całych folwarków, rzadkie są bardzo we wszelkich innych formach; drobna własność rzadko ma sposobność do dzierżawienia gruntów, a stosunek taki, przy którym by na drobnym gospodarstwie należącym do jednego właściciela inny gospodarował jako dzierżawca, jest wyjątkowy. Panowanie przeto własności indywidualnej gruntu w czystej jej formie jest wybitną cechą ustroju agrarnego Polski.

Osobliwe właściwości ustroju agrarnego Polski są wynikiem jej rozwoju historycznego. Znaczny jeszcze procent większej własności jest wynikiem ewolucji stosunków przede wszystkim w wieku XV—XVII, poza tym regulacji wsi i folwarków w XIX wieku w dwóch zaborach pruskim i rosyjskim, w których procent większej własności jest też większy, niż w Galicji (w ostatniej tej regulacji nie było wcale, gdyż prawodawstwo austriackie jej nie dopuszczało). Znaczny procent bezrolnych jest też wytworem tej regulacji z XIX w. (w Galicji znacznie mniejszy). Duża ilość małorolnych jest wynikiem procesu rozdrabniania gruntów skutkiem podziałów oraz braku odpływu ludności do ośrodków przemysłowych (najwięcej małorolnych w Galicji).

Mała ilość gospodarstw średnich jest wynikiem ewolucji stosunków od XV do XVIII wieku, która niwelowała przy systemie pańszczyźnianym sytuację wszystkich włościan do jednego rzędu. Gęstość zaludnienia rolniczego jest wynikiem właściwości rasowych wspólnych Polakom co do płodności ze Słowianami, a jednocześnie braku przygotowania ludu wiejskiego z powodu złego stanu szkolnictwa początkowego do oddawania się zatrudnieniom innym jak rolnictwo. Brak drobnych dzierżaw jest wynikiem tego, że ustrój agrarny na ziemiach polskich jest wytworem świeżym, w którym wyraźnym czynnikiem twórczym było żywiołowe domaganie się ze strony ludu praw własności, długo zupełnie negowanych, a nadanych przez rządy zaborcze.

(„Historia wsi w Polsce")

Z MANIFESTU POLSKIEGO KOMITETU WYZWOLENIA NARODOWEGO Z DN. 22 LIPCA 1944 R.

Lublin, dn. 22 lipca 1944 r.

Rodacy!

Aby przyśpieszyć odbudowę Kraju i zaspokoić odwieczny pęd chłopstwa polskiego do ziemi, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przystąpi natychmiast do urzeczywistnienia na terenach wyzwolonych szerokiej reformy rolnej.

W tym celu utworzony zostanie Fundusz Ziemi, podległy Resortowi Rolnictwa i Reform Rolnych. W skład tego Funduszu wejdą wraz z martwym i żywym inwentarzem i budynkami ziemie niemieckie, ziemie zdrajców narodu oraz ziemie gospodarstw obszarniczych o powierzchni ponad 50 ha, a na terenach przyłączonych do Rzeszy, w zasadzie o powierzchni ponad 100 ha. Ziemie niemieckie i ziemie zdrajców narodu zostaną skonfiskowane. Ziemie gospodarstw obszarniczych przejęte zostaną przez Fundusz Ziemi bez odszkodowania zależnego od wielkości gospodarstwa, lecz za zaopatrzeniem dla byłych właścicieli. Ziemianie, mający zasługi patriotyczne w walce z Niemcami, otrzymają wyższe zaopatrzenie. Ziemie skupione przez Fundusz Ziemi, z wyjątkiem przeznaczonych na gospodarstwa wzorowe, rozdzielone zostaną między chłopów małorolnych, średniorolnych, obarczonych licznymi rodzinami, drobnych dzierżawców oraz robotników rolnych. Ziemia rozdzielona przez Fundusz Ziemi za (minimalną) opłatą, stanowić będzie narówni z dawniej posiadaną ziemią własność indywidualną. Fundusz Ziemi będzie tworzył nowe gospodarstwa względnie dopełniał gospodarstwa małorolne, biorąc za podstawę normę 5 ha użytków rolnych średniej jakości dla średniolicznej rodziny. Gospodarstwa, które nie będą mogły otrzymać tej normy na miejscu, będą miały prawo do udziału w przesiedleniu przy pomocy państwa na tereny z wolną ziemią, zwłaszcza na ziemie rewindykowane od Niemiec.

Z DEKRETU PKWN O PRZEPROWADZENIU REFORMY ROLNEJ Z DN. 6.9.1944 R.

Na podstawie ustawy Krajowej Rady Narodowej z dnia 15 sierpnia 1944 r. o tymczasowym trybie wydawania dekretów z mocą ustawy (Dz. U.R.P. Nr 1, poz. 3) Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego postanawia a Prezydium Krajowej Rady Narodowej zatwierdza, co następuje:

Art. 1. (1) Reforma rolna w Polsce jest koniecznością państwową i gospodarczą i będzie zrealizowana przy udziale czynnika społecznego zgodnie z zasadami Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

Ustrój rolny w Polsce oparty będzie na silnych, zdrowych i zdolnych do wydatnej produkcji gospodarstwach, stanowiących prywatną własność ich posiadaczy.

Wobec tego, że znaczna część Polski pozostaje jeszcze pod okupacją, w obecnej chwili nastąpić może jedynie częściowy nadział ziemi w rozmiarach zapasu ziemi na terytoriach już wyzwolonych.

(2) Przeprowadzenie reformy rolnej obejmuje:

a) upełnorolnienie istniejących gospodarstw o powierzchni niżej pięciu hektarów użytków rolnych;

b) tworzenie nowych samodzielnych gospodarstw rolnych dla bezrolnych, robotników i pracowników rolnych oraz drobnych dzierżawców;

c) tworzenie w pobliżu miast i ośrodków przemysłowych gospodarstw dla produkcji ogrodniczo-warzywniczej, kolonii i ogródków działkowych robotniczych, urzędniczych i rzemieślniczych;

d) zarezerwowanie odpowiednich terenów dla szkół oraz poddanych zarządowi państwowemu lub samorządowemu ośrodków dla podniesienia kultury rolnej, wytwórczości nasiennej, hodowlanej oraz przemysłu rolnego.

Art. 2. (1) Na cele reformy rolnej przeznaczone będą nieruchomości ziemskie o charakterze rolniczym:

a) stanowiące własność Skarbu Państwa z jakiegokolwiek tytułu;

b) będące własnością obywateli Rzeszy Niemieckiej i obywateli polskich narodowości niemieckiej;

c) będące własnością osób skazanych prawomocnie za zdradę stanu, za pomoc udzieloną okupantom ze szkodą dla Państwa lub miejscowej ludności, względnie za inne przestępstwa przewidziane w dekrecie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dnia 12 września 1944 r. (Dz. U.R.P. Nr 4, poz. 16);
d) skonfiskowane z jakichkolwiek innych prawnych przyczyn;
e) stanowiące własność albo współwłasność osób fizycznych lub prawnych, jeżeli ich rozmiar łączny przekracza bądź 100 ha powierzchni ogólnej, bądź 50 ha użytków rolnych, a na terenie województw poznańskiego, pomorskiego i śląskiego, jeśli ich rozmiar łączny przekracza 100 ha powierzchni ogólnej, niezależnie od wielkości użytków rolnych tej powierzchni.

O położeniu prawnym nieruchomości ziemskich, należących do kościoła katolickiego lub gmin wyznaniowych innych wyznań, orzeknie Sejm Ustawodawczy.

Wszystkie nieruchomości ziemskie wymienione w punktach b, c, d i e części pierwszej niniejszego artykułu przechodzą bezzwłocznie bez żadnego wynagrodzenia w całości na własność Skarbu Państwa z przeznaczeniem na cele wskazane w art. 1-ym część druga.

Art. 3. (1) Dla zrealizowania przebudowy ustroju rolnego tworzy się Państwowy Fundusz Ziemi, którym zarządza Kierownik Resortu Rolnictwa i Reform Rolnych.

(2) Państwowy Fundusz Ziemi tworzą:
a) aktywa dotychczasowego Funduszu Obrotowego Reformy Rolnej, powołanego ustawą z dnia 9 marca 1932 r. (Dz. U.R.P. Nr 40, poz. 364 z 1934 r.);
b) należności i wpływy z tytułu czynności, związanych z przebudową ustroju rolnego;
c) nieruchomości ziemskie przejęte na cele reformy rolnej (art. 2);
d) należności i wpływy z administracji nieruchomości (b, c);
e) należności i wpływy z tytułu zbycia nieruchomości (art. 2) przejętych na cele reformy rolnej;
f) oprocentowanie gotowizny Państwowego Funduszu Ziemi;
g) dotacje Skarbu Państwa;
h) inne wpływy.

Art. 4. (1) Kierownik Resortu Rolnictwa i Reform Rolnych może powierzyć administrowanie Państwowego Funduszu Ziemi Państwowemu Bankowi Rolnemu w zakresie i na zasadach przez siebie ustalonych, z wyjątkiem bezpośredniej administracji nieruchomości (art. 3 część 2 punkt c).

(2) Obrót pieniężny Państwowego Funduszu Ziemi wykonywany będzie za pośrednictwem Państwowego Banku Rolnego.

Art. 5. Z Państwowego Funduszu Ziemi pokrywane będą wszelkie wydatki, związane z przeprowadzeniem reformy rolnej oraz udzielane będą pożyczki na urządzenia gospodarstwa oraz na inwestycje.

Art. 10. (1) Po przeprowadzeniu czynności, wymienionych w art. 7 i 9 powiatowy urząd ziemski rozpatrzy sprawy wszystkich obiektów parcelowanych, położonych na jego terenie. Ustalenia planu podziału dla każdego z tych obiektów i sporządzenia wykazu nabywców poszczególnych parcel dokona kierownik powiatowego urzędu ziemskiego w terminie do 25-go października 1944 r. przy współudziale z głosem stanowczym zasiadających w gminnej komisji reformy rolnej delegatów zainteresowanych gromad. Należy przy tym mieć na uwadze, że pierwszeństwo z pośród uprawnionych kandydatów przysługuje żołnierzom Wojska Polskiego, inwalidom obecnej wojny i uczestnikom partyzanckich walk z Niemcami o Polskę demokratyczną. Wyłączeni natomiast będą od korzystania z dobrodziejstw reformy rolnej ci, którzy uchylili się od dopełnienia zasadniczych obowiązków wobec Państwa lub wysługiwali się okupantowi.

Art. 12. Inwentarz żywy i martwy przejęty z gospodarstw parcelowanych zostanie rozdzielony między gospodarstwa nowoutworzone dla bezrolnych. Podziału inwentarza dokonują na wniosek gminnych komisji reformy rolnej powiatowe urzędy ziemskie, nie później niż w dwa tygodnie po rozparcelowaniu majątku.

Art. 14. (1) Gospodarstwa utworzone na podstawie niniejszego dekretu nie mogą być w całości lub w części dzielone, sprzedawane, wydzierżawiane i zastawiane.

Art. 20. Nabywca otrzymuje ziemię w stanie wolnym od wszelkich długów i ciężarów. Sprawa odpowiedzialności Skarbu Państwa za dotychczasowe obdłużenie hipoteczne będzie uregulowana odrębnym dekretem.

Art. 21. Dekret niniejszy wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Z chwilą ogłoszenia niniejszego dekretu traci moc obowiązującą ustawa z dnia 28 grudnia 1925 r. „o wykonaniu reformy rolnej" (Dz. U.R.P. Nr 1, poz. 1 z 1926 r.) wraz z późniejszymi zmianami.

Art. 22. Wykonanie niniejszego dekretu poruczа się Kierownikowi Resortu Rolnictwa i Reform Rolnych.

Przewodniczący Krajowej Rady Narodowej:
(—) Bolesław Bierut

Przewodniczący i Kierownik
Resortu Spraw Zagranicznych
Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego
Edward Bolesław Osóbka-Morawski

SPIS TREŚCI:

Str.

Słowo wstępne 3

Część I. Z NIEDOLI CHŁOPSKIEJ.

Szymon Szymonowicz — Żeńcy (w skróceniu) . . . 7
Stanisław Staszic — Chłop polski u schyłku Rzeczypospolitej *(Przestrogi dla Polski)* 9
Teofil Lenartowicz — Maciek 11
Leon Kruczkowski — Pańszczyzna *(Kordian i Cham)* . 13
Stefan Żeromski — Komornicy *(Przedwiośnie)* . . . 20
Wanda Wasilewska — Dzień czworaczny *(Ojczyzna)* . 21
Władysław Orkan — Kto jest na wsi biedny *(Listy ze wsi)* 24
Franciszek Magryś — Z żywota chłopa *(Żywot chłopa działacza)* 26
Leopold Staff — Trójca pól jesiennych 29
Wincenty Burek — Zakucznik hula *(Droga przez wieś)* . 30
Wanda Wasilewska — Ojczyzna chłopska *(Ojczyzna)* . 34
Jan Kasprowicz — Z chałupy 38

Część II. W WALCE O CHLEB I O ZIEMIĘ.

Stefan Żeromski — Słowo o bandosie *(Słowo o bandosie)* 41
Aleksander Świętochowski — Ślązacy, Mazurzy i Kaszubi *(Historia chłopów polskich)* 43
Władysław Orkan — Szczęśliwa gmina *(W Rostokach)* . 47
— Z „Pamiętników chłopów" *(Pamiętniki chłopów, Pamiętnik Nr 8)* 50
Władysław Orkan — Emigracja *(Listy ze wsi)* . . . 57
Maria Konopnicka — W puszczy brazylijskiej *(Pan Balcer w Brazylii)* 59

Część III. O PEŁNIĘ PRAW OBYWATELSKICH DLA WSI.

Andrzej Frycz - Modrzewski — O prawach *(O naprawie Rzeczypospolitej)* 63

Aleksander Świętochowski — Sądownictwo patrymonialne *(Historia chłopów polskich)* 65
Aleksander Świętochowski — Chłop w walkach za ojczyznę *(Historia chłopów polskich)* 67
Stanisław Staszic — Głos w obronie stanu chłopskiego *(Przestrogi dla Polski)* 69
Manifest Towarzystwa Demokratycznego z r. 1836 . . 71
Manifest Rządu Narodowego z r. 1846 74
Z Manifestu Lubelskiego Rządu Ludowego z r. 1918 . . 75
Władysław Grabski — Ustrój agrarny Polski *(Historia wsi w Polsce)* 76
Z Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dn. 22 lipca 1944 r. 80
Dekret PKWN o przeprowadzeniu reformy rolnej z dnia 6. 9. 1944 r. 81

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum [illegible]
w GLIWICACH
Nr. ———

Odbito w Drukarni Nr 1
pod zarządem Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych
Pabianice, ul. Pierackiego 3 — Łódź, ul. Piotrkowska 123

SK K19825